



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

ROK 1924. WARSZAWA, 19 KWIETNIA

CENA NUMERU 1 ZŁOTY (1.800.000 Mkp).

TREŚĆ NUMERU:

Chusta Weroniki — *Stef. Podhorska-Okolów*. Marja Ilnicka — *C. Niewiadomska* O wybór zawodu — *C. Walewska* Najcięższe poniżenie kobiety. Świat Kobiety (feljton) — *Marja Grossek Korycka* (c.d.) Wiersze — *Marja z Kossaków Pawlikowska*. Małżeństwo Zygmunta Kietlicza (powieść) *M. Domańska* (dokoń.). O arcydziele Edmunda Rostanda (dokoń.). — *Gabryel Karski*. Pan z książki (nowelka) — *Jerzy Szaniawski* Z literatury kobiecej w Paryżu — *Dr. M. Kastarska*. Na polach pracy i twórczości. Z książek 1) *M. Dąbrowska*; 2) Książki dla młodzieży — *Zofja Szmydtowa*. Z teatrów — *W. Miłaszewska*. Kącik lekarski — *Dr. E. P...a*. Suknie letnie — *W.* Wskazówki praktyczne — *Pani Elżbieta*. Dodatek powieściowy: Sprawa kryminalna (nowelka) — *Wanda Miłaszewska*. Dodatek robót i ubiorów.

W Noc Zmartwychwstania Pańskiego płynie pieśń dzwonów, a serca ludzkie biją potężnym rytmem radosnej Wiary i Nadziei. Przed rokiem, w Wielką Sobotę, cały świat chrześcijański poruszyła do głębi tragiczna wiadomość o potwornej zbrodni, dokonanej przez Sowiety, na Księdzu Prałacie Butkiewicz i o wyroku, skazującym na dziesięć lat więzienia księdza arcybiskupa Cieplaka. Dziś stolica Polski w manifestacyjnym wylewie uczuć narodowych i katolickich witała w swych murach wróconego Ojczyźnie księdza arcybiskupa, dostojnego kapłana i nieposzlakowanego obywatela. Tak oto, po długiej tułaczce, wracają na Ojczyznę łono najwybitniejsi Jej synowie. A nad Ziemią Polską od granitowych Tatr aż po siny Bałtyk płynie pieśń rozkołysanych Dzwonów Zmartwychwstania.

Chusta Weroniki

Skarżysz mi się cichy, żałościwy,
Żeś obaczył Chrystusa na chmurach,
Lecz nie możesz Go znaleźć na ziemi,
W krwi purpurze, królewskiej i żywej.
— Skarżysz mi się cichy, żałościwy.

A ja tobie powiadam: rozetnij
Twoje serce dymiące jak czara;
A gdy męty ustąpią z pułara,
Znajdziesz w głębi ognia tysiącletni.

Płomień wiary twe serce odczyni,
Płomień tłący złoto i ponosowo;
I odnajdziesz jak perłę w pustyni,
Na dnie duszy twej lżę Chrystusową.

Bowiem w tobie jest święta pokusa,
Co za prawdą cię żenie we światy,
W piersi ryjąc ci bólu stygmaty
I oblicze przesłodkie Chrystusa.

Twoja droga zdaje ci się pusta,
A ty nie wiesz, że jesteś wybrany,
Bo, jak święta Weronika chusta,
Nosisz w sobie twarz Pana nad Pany

STEF. PODHORSKA-OKOLÓW.

M A R J A I L N I C K A

W S P O M N I E N I A

„Mój złotowłosy synku maleńki,
Wiem ja, że bardzo lubisz piosenki,
Które ci nucę niekiedy.

O starych czasach, o ludziach dawnych
Królach, hetmanach, rycerzach sławnych,
Co śpią pod mogił kamieniem.

To dziady twoje, to ojce twoje!
W grób z sobą wzięli skrzydlate zbroje.
Wzięli święcone bułaty...

Czarodziejskie dla dziecka słowa.
Moc ich zaklęcia budziła w mej du-
szy szeregi cudnych, świetlanych
obrazów, płynących het, w obłokach,
w promienistej dali. Widziałam królów,
hetmanów, rycerzy, skrzydlate zbroje,
bitwy, trony i korony, znikająca rzeczy-
wistość, przeszłość porywała duszę
dziecięcą i niosła w świat inny, pię-
kny, wielki, wspaniały, tam pod słoń-
cem promieniający cudną zjawą.

„Skarbczyk“. Ileż w nim skar-
bów. Prawdziwe klejnoty, które nigdy
nie tracą blasku.

„W mętach Elby i Sali, wśród Dnieprowych
[wód fali —
Kto to słupy żelazne tam bije?...

Widziałam go! Stał w złotym
pancerzu, w koronie na hełmie i roz-
kazywał wzniesioną prawicą — a zie-
mie polskie rosły...

A gdzieindziej —

„Młoda dziewczyna cudnego lica
Na polskim tronie zasiada!...

Kochałam Skarbczyk, był naj-
piękniejszą książką, jaką dziecko
wyobrazić sobie może, pełną niezna-
nych skarbów. Naturalnie te cudne,
dźwięczne wiersze, bo cóż proza?
Zupełnie dziecku niepotrzebna.

Powiedziano mi później, że je
napisała żyjąca jeszcze poetka, Ilnicka.

Jakaż musi być piękna! Wysoka
i jasna, biją od niej srebrne promie-
nie, a ona rzuca dzieciom kwiaty-
skarby.

Jakżebym ją chciała zobaczyć.

Takie miał znaczenie Skarbczyk,
bo tak czujących dzieci był legion.

Jako młoda dziewczyna czyty-
wałam w „Bluszczu“ powieści i po-
ezje Ilnickiej. Jej postać nie straciła
bynajmniej uroku, ogarniała mnie cza-
rem uczuć, pięknnością swoich boha-
terów. Był to znowu świat inny,
świat słodkiej dobroci i niezłomnego

męstwa, iście szlachetnych, wyso-
kich myśli. Budził dziwną tęsknotę
i ciche pragnienia.

Właściwie bohaterki, czy Dory
czy Hanie, mimo zewnętrznych różnic
były do siebie podobne, ale wszyst-
kie szły w górę i tem pociągały,
wskazywały drogi piękne i szlachetne.
Bohaterowie porywali siłą, chciało
się razem z nimi zwyciężać przesko-
dy, aby stanąć u celu. Budzili zapal
walki.

Wrażenie musiało być głębokie,
jeśli po tylu latach dziś jeszcze pa-
miętałam nie tylko ideową treść wielu
powieści, lecz całe sceny, postaci.

I znów pragnęłam poznać au-
torkę tych cudów, które działały się
w mojej duszy!

Około roku 1885, chcąc powiek-
szyć nauczycielskie dochody, nauczy-
łam się angielskiego, bo z tego języka
ka łatwiej było wówczas o przekłady.
Za pośrednictwem ojca dostałam po-
sadę w „Bluszczu“.

W oznaczonej godzinie miałam
stawić się u Ilnickiej.

Łatwo zgadnąć, że szłam z bi-
ciem serca. Spełniło się marzenie
dzieciństwa i młodości, — chodziło
także o cel materialny.

Marszałkowska, drugie piętro,
mieszkanie frontowe, obszerne i wy-
godne. Otwiera zażywna gospośka,
pyta o nazwisko i prowadzi do „re-
dakcyjnego pokoju“.

„Pokój redakcyjny“ to — pokój ja-
dalny: kredens, stół duży, składany,
na środku, — ale pod oknem stolik
kwadratowy, założony papierami
i książkami, a przy nim na fotelu
redaktorka.

Drobna postać o miłej twarzy,
łagodnych niebieskich oczach i świe-
żej cerze mimo licznych zmarszczek.
Z obu stron głowy spływają do ziemi
dwa grube warkocze jeszcze ciemno-
blond włosów. Tych warkoczy nie
mogła na głowie udźwignąć, więc
tylko na przyjęcie zaproszonych gości
upinała je na kilka godzin.

Na te przyjęcia — w czwartki, czy
soboty — zostałam także wkrótce za-
proszona i tam się zetknęłam z świa-
tem literackim. Głównym gościem
bywał Stanisław Krzemiński, przyja-
ciel jej męża; tam poznałam poetę
Faleńskiego, Aleksandra Krajewskiego,

sybiraka Wohla, towarzysza Ilnickiego
na wygnaniu, — wielu innych.

Rozmowy były ciche, towarzyst-
wo skupiało się w grupy, tylko Krze-
miński mówił głośno i z zapalem.
Przedmiotem rozmów — książki, kwest-
je literackie, poezja ostatniej doby.
Widać było jednakże, że to ludzie
zmęczeni, przeważnie wyczerpani
walką życia. Ilnicka widziała ich jed-
nakże zawsze w aureoli młodości.

Pamiętam kiedyś przyszedł
pierwsza. Potem dzwonek, gospośka
oznajmia Krajewskiego. Ilnicka na-
chyła się do mnie i szepcze:

— Zobacz pani jednego z naj-
piękniejszych mężczyzn.

Wchodzi starzec, ostrożnie po-
suwając nogi, krępy, łysy, z grubym
szalikiem na dość grubej szyji i twa-
rzą już obrzękłą i obwisłą.

Ale ona zawsze widziała go
młodym.

Osobiście zbliżyłam się z Ilnicką
dość serdecznie. Polubiła mnie i chę-
tnie ze mną rozmawiała po załatwie-
niu spraw bluszczowych. Opowiada-
łam jej kiedyś o swoich wrażeniach
dzieciństwa pod wpływem skarbczyka
i wielką jej zrobiłam przyjemność.

Ona opowiadała mi zwykle o
„Bluszczu“, o początkach tej pracy,
zamiarach i walkach z cenzurą, jak
uczyła się wynajdywać skryte ścieżki,
ażeby dojść do celu.

Żyła wtedy już tylko „Bluszczem“.
Od śmierci ukochanej matki z bliż-
szej rodziny nie miała nikogo,
„Bluszcz“ był jej najmilszym dzieckiem,
w którym składała wszystkie myśli
i nadzieje.

Raz odnosiłam jej tłumaczenia
i zastałam nieznanego, który prze-
dłużał rozmowę widocznie wbrew
jej woli. Zadzwoiła.

Weszła znana mi gospośka.

— Moja droga, czy lufcik w mo-
im pokoju zamknięty? — zapytała jak
gdyby z niepokojem.

— Zara — proszę pani — zamknę.

A za kilka minut później ta sama
gospośka wchodzi z zawiadomieniem,
że chłopiec z drukarni czeka na ko-
rektę i że jest bardzo pilna.

Naturalnie oboje z nieznanym
wstaliśmy natychmiast, gdy Ilnicka
zatrzymała mnie słowami.

— Muszę pani dać książkę.

Gdy zostałyśmy same, usiadła najspokojniej znów na swoim miejscu i uśmiechnęła się.

— Widzi pani — rzekła — lufcik i korekta to nasze umówione hasła. Ludzie często nudzą i męczą bez celu — muszę się przecież bronić.

Wogóle była dobra i wyrozumiała, lecz pod względem etycznym niezłomie surowa względem kobiet. To nawet spowodowało pewne jej odosobnienie.

Tłumaczyłam do „Bluszczu“ przez lat kilka i widziałam, że siły redaktorki gasną, choć umysł jej zachował wiele młodości. Ale żyła głównie przeszłością. Z nowymi prądami nie umiała się pogodzić. Pochłaniała ją bezustannie walka z czujną cenzurą. Ona chce budzić, krzepić, uszlachetniać, uświadomić, wskazywać drogę, stawiać idealne wzory, utrzymać kobietę polską na wysokim stanowisku obywatelki, a cenzor poluje na te ukryte światelka, tłumi każdą iskierkę, jeżeli dostrzeże.

Tak było od początku, przez lat tyle, tyle...

Taka walka uczy podstępów. Trzeba własne myśli przybrać w cudze piórka. Marysię nazwać Dorą albo Glorją i t. d. Ilnicka ukryła się w tłumaczeniach. Tu jedynie można coś powiedzieć śmieiej i cenzor nie zrozumie, że Sassenach — to Moskal, a Irlandka — Polka. Dlatego w „Bluszczu“ dużo było powieści tłumaczonych. Ale...

Wyniknęła stąd rzecz niezwykła: przekłady często stawały się fikcją.

Podawano zamiast autora — litery, lub poprostu „z angielskiego“, czy „z niemieckiego“, — a dalej — zmieniał się tytuł pracy, wstawiało się całe sceny, własne dłuższe ustępy, przekreślało inne, zmieniano nawet imiona bohaterów, czasem treść samą. Cóż więc pozostało? — Trochę pomysłów do fabuły i epizodów, obcy koloryt.

Z punktu widzenia literackiego taka bez ceremonjalność wydaje nam się dzisiaj nieprawdopodobną, ale stałmy na innym gruncie.

O co chodziło Marji Ilnickiej? Czy o przyswojenie naszej literatury kilkunastu lub kilkudziesięciu mniej więcej udatnych utworów z literatury obcej. — Arcydziel do takiej roboty nie brała. — Czy chodziło o powieść, jako o zabawę, zainteresowanie ciekawości czytelnika?

W tym wypadku było jedno i drugie dla niej rzeczą obojętną i trzeciorzędną.

Przekład był jedynie kanwą, na której haftować mogła własne kwiaty. Wynaleziona przez nią skryta ścieżka pod baterje nieprzyjaciela. To jedynie pozwalało jej choć w części wypowiedzieć to, co pragnęła, po co przez lat tyle trzymała ster „Bluszczu“. W beznadziejnie zamkniętym kagańcu nie miałyby żadnej podniety do pracy.

A tak ją miłowała. Tak wierzyła w jej wartość i oddziaływanie, — Miała prawo. „Bluszcz“ spełniał zadanie swoje przez lat wiele.

Zdawało się szczęśliwie, że powieść odpowiadała najważniejszym wymaganiom redaktorki. Wtedy podawałyśmy autora, zmiany bywały drobne. Każdą jednak czytała sama, sama wybierała, otrzymywałam książkę pokreśloną i szczegółowe wskazówki, dodatki.

Była to także praca.



Upłynęło lat kilka. W „Bluszczu“ działo się coraz gorzej. Poważniejsi współpracownicy opuszczali pismo, pozostał na stanowisku Krzemiński i pióra nowe, szukające druku. Nie rozumiałam tego, dopóki mnie samej nie zagroziła krzywda w bardzo brutalnej formie. Umiałam ją szczęśliwie zmniejszyć, lecz usunęłam się również. W tych perypetjach dowiedziałam się jednakże, że Ilnicka od dawna nie bierze pensji redaktorskiej, a co gorsza, jej skromny kapitałik, umieszczony w ręku wydawcy, nie tylko nie przynosi procentu, ale prawdopodobnie — zostanie stracony.

W starości stanął przed nią niedostatek.

Dowiaduję się nagle, że się przeprowadziła, nie redaguje „Bluszczu“.

Pobiegłam na nowe mieszkanie. Dwa czyściutkie lecz skromne pokoiki w bardzo skromnej oficynie i na bardzo skromnej ulicy.

Przyjaciele zapewnili dach nad głową strudzonej i zasłużonej pracownicy, zapewnili jej byt niewątpliwie, ale było to dla niej rozbitcie.

Usprawiedliwiała przedemną wydawcę. Był zawsze dla niej życzliwy, popierał jej idee — ale żona, dzieci, ich nadmierne wymaganie i jego doprowadziły do ruiny. Nie daje, bo sam nie ma.

Ulgą było dla niej tak wierzyć, więc nie rozpraszałam złudzeń. — Teraz do pracy nie była już zdolna, a bez pracy żyć nie umiała...

To było nasze ostatnie widzenie. Wyjechałam wkrótce na wakacje, a po powrocie już jej nie zastałam.

Cicho odeszła na zasłużony odpoczynek.

Cześć jej pamięci.

C. Niewiadomska.

O W Y B Ó R Z A W O D U

Zbliża się już koniec roku szkolnego, a wraz z nim — rozdawnictwo świadectw dojrzałości w całej Polsce. Setki młodzieży po wyjściu ze szkoły średniej staną wobec pytania: „co dalej?“ ... Jak pokierować swoim losem, czego uczyć się, aby zdobyć twarde

podwaliny zawodu i mózdz jaknajlepiej wyzyskać przyrodzone dary umysłu i organizacji fizycznej.

Ogół ludzi, — bierne jednostki — jak w życiu, tak i w wyborze zawodu — kierują się zwykle wpływami otoczenia, namową krewnych, przy-

jaciół, znajomych lub — idąc po linii najmniejszego oporu, wstępują w ślady ojca, stryja, dalekiego lub blizkiego, znanego lub nieznanego kuzyna, o którym słyszeli, że zarabia dużo jako inżynier, adwokat, doktor, aptekarz, weterynarz, i t. p. Na myśl nie

przychodzi im skupić się wewnątrz, poradzić zatajonych upodobań, które każdy ma w sobie, tylko nie każdy chce i umie wydobyć je z siebie, zgłębić co mu one wskażą?...

Idą w pracę życia całego, jak na bliski spacer, z jedną troską — złapania tej odrobiny wiadomości, które są niezbędne dla uprawiania danego zawodu.

Zdarza się, że po pewnym czasie powstaje w takim automacie pewne zamięślenie, chwyta ciekawość, co jest istotą danej pracy, rodzi się ambicja iść dalej, wyżej, być „czemś”. I wtedy ta bierna zrazu jednostka, zaczyna doksztalać się i studjować, docierać do dna wiedzy fachowej. Większość jednak spoczywa na laurach po dorwaniu się do jakiegoś warsztatu. Lekarz do późnej starości przepisuje te same recepty, prawnik stosuje te same litery kodeksu, bez względu na ich rozciągłość i podwójne, potrójne nieraz znaczenie stosowane do warunków i okoliczności sprawy. Zwykli zjadacze chleba. Aby odwalić swoje „kawałki” i zagrać potem spokojnie w brydża, iść do teatru, na koncert, zjeść kolację, a nazajutrz znowu wziąć się do zwykłej bezdusznej roboty, która niekiedy bywa nawet bardzo ceniona. Mówi się o takim odruchowcu: „rutynowany sędzia, doktor, adwokat, inżynier”.

Za głosem powołania idzie nieliczna garstka zaledwie — po twardych wybojach, przez mroczne wirydarze, ale idzie.

Bo jakby na urągowisko bywa, że właśnie owa mniejszość — przy wyborze zawodu — natrafia na góry przeszkód, zdawałoby się — nie do przebycia. Jakieś dziedziczne przesady, brak środków na dalsze kształcenie się. Ciężkie obowiązki, które każą podjąć byle jaką pracę, aby utrzymać najbliższych swoich.

Jedna z wielkich uczonych, której szczyt się Polska, Dr. Michalina Stefanowska, prof. poznańskiego uniwersytetu, od najmłodszych lat marzyła o wyższych studjach. Chciała skończyć przyrodę, którą ukochała całą siłą dziewczęcego swego serca. Rodzice nie sprzeciwiali się temu. Ale w siedemnastym roku życia już zostaje zupełną sierotą. Na barki jej spada ciężar utrzymania młodszego rodzeństwa. Zamyka więc w sobie sny swoje górne, zostaje nauczycielką. Bierze, ile tylko da się lekcji, aby siostrzyczki i bracia nie cierpieli głodu.

Pracuje od świtu do późnej nocy. Po kilku latach już znajduje pomoc w paru dorastających członków rodzeństwa swego; po dziesięciu czy dwunastu wychowała już wszystkich, dała im broń zawodową w ręce i odetchnęła wówczas. Nareszcie mogła pomyśleć o sobie! Nareszcie z głębin swej duszy, mogła wydobyć, odchuchać, przywrócić do życia zduszone swe marzenia.

Uniwersytet!..

Jeszcze rok, dwa lata dla zebrania pieniędzy i potem — wolne loty.

Widzimy ją w Genewie, a później w Brukselli. Kończy umiłowaną przyrodę, zostaje docentką i parokrotną laureatką różnych konkursów za prace z dziedziny morfo-fizjologii i patologii nerwowej. Po dziesięciu latach pracy w Instytucie fizjologicznym Solvay'a, po kilkuletniej docenturze w uniwersytecie genewskim wraca do kraju, pędzona żądzą służenia swoim, prowadzi szkołę dla dzieci anormalnych w Warszawie, a w końcu obejmuje wykłady fizjologii nerwów w uniwersytecie poznańskim.

Czy nie klasyczny przykład głosu powołania, który przezwyciężył najtwardsze zapory?...

Podobnie ciężkie warunki pokonały wszystkie nasze studentki z drugiej połowy ubiegłego wieku, kiedy dostęp do krajowych uniwersytetów był wzbroniony kobiecie, a nauka zagranicą wymagała nieskończonych ofiar i samowyrzeczeń.

W gorzkiej męce — idąc o własnych siłach — skończyły wyższe studia nasze najwybitniejsze uczone: dr. Józefa Joteyko, dr. Zofia Daszyńska Golińska, dr. Józefa Kodisowa, dr. Ludwika Dobrzyńska-Rybicka, dr. Marja Czaplicka, zmarła przed paroma laty w Anglii antropologistka, dr. Marja Grzegorzewska i najpierwsze nasze lekarki: dr. Tomaszewicz-Dobrska, dr. T. Ciszewiczowa, dr. Budzińska-Tylicka, dr. Marja, Sabina i Antonina Zielińskie, dr. Konarzewska, Paschalisówna, St. Popławska i tyle innych.

To był głos powołania wśród kobiet. To była ta wielka, niezmierzona siła, która pędzi za siódmą górę i siódmą rzekę, nie dając zmódl się czyhającym zewsząd zasadzkom i potwornym lejom przeszkód.

Czy mielibyśmy Marję Skłodowską Curie, gdyby nie ten pęd ducha, który jak lawina stacza się po głazach do siebie tylko wiadomej mety?

A ilu mężczyzn szło i idzie za nimi!

Tylko ci, co przy warsztatach pracy stanęli na właściwych miejscach, dźwigają świat, bo we wszystkie zamierzenia kładą najcenniejszy skarb: wiarę w dzieło swoje.

Jakże blady, jak beznadziejnie smutny jest każdy czyn, zrodzony tylko z dławiącej konieczności! Jak bolesne życie człowieka, który nie może wyrzucić z siebie całej pełni wnętrznego żaru swego!...

A tyczy się to nie tylko prac intelektualnych. Każdy najprzysmięjszy zawód ma swoje loty, jeżeli podjęty jest z upodobaniem. Jakżeż inaczej szyje szwaczka, która lubi mechaniczną pracę poruszania igłą, dla której miły jest furkot maszyny i którą cieszy się każdą suknią wykończoną, jak malarz swoim już wyvernikiem wstawionym obrazem. Całą swoją fantazję, cały polot włożyła w dzieło swoje ta mała, ale szczerą duszyczką, czując się źle przy każdym innym warsztacie.

Kierując od lat 10 szkołą dla pracownic — rękodzielniczek, sklepowych, ekspedjentek, służby domowej — przeprowadzam co rok ankietę, której główne pytania brzmią: „czy lubisz swój zawód? Czy chciałabyś się w nim doksztalić? Czy pragniesz go zmienić i na jaki?”.

Większość odpowiedzi brzmi zwykle przychylnie dla obranego kierunku pracy. Szwaczki pragną nauczyć się kroju, ekspedjentki i sklepowe skończyć kursy handlowe, w czym dopomaga im T-wo zawodowego kształcenia kobiet, założone przed 9-ciu laty.

Niezadowolone ze swego zawodu są stale służące, a niepodobna im wytłomaczyć, że po skończeniu prawidłowej nauki, mogą wstąpić do szkoły instruktorek gospodarstwa domowego. Niecierpliwą się, rzucają po pewnym czasie kursy i znikają z oczów.

W kilkunastu wypadkach miałam rozdierające odpowiedzi szwaczek, w dwóch — telefonistek, w jednym — grawerki, męczących się pracą swoją nad wszelki wyraz; grawerka chciała odebrać sobie życie, gdyby nie myśl o matce... W prostych, a wnikliwych słowach żaliły się na dolę swoją. Wszystkie marzyły o tem, żeby zostać ochraniarkami lub nauczycielkami ludowymi.

Dopomogło im T-wo i dziś uważają się za najszcześniejsze wybranki

osu, kładąc w swoją pracę wielki zapal i wielkie zamięłowanie.

Szczególniejsza pomoc w zdobywaniu zawodów należy się tym maluczkim, którzy nie wiedzą, gdzie szukać nauki, jak poradzić sobie, aby przy ciężkich warunkach bytu móc ją zdobyć.

We wszystkich większych środowiskach życia kulturalnego Europy i Ameryki powstały ostatnimi czasy t. zw. „poradnie zawodowe”, ułatwia-

jące wybór fachu, odpowiednio do zdolności i zamięłowań danego osobnika. Powstała również nowa nauka, mająca na celu orientację zawodową, a uzasadniona już dziś olbrzymią literaturą w obcych językach, głównie: francuskim, angielskim i niemieckim.

Pomówimy o tem w następnych numerach „Bluszczu”.

C. Walewska.



NAJCIEŹSZE PONIŻENIE KOBIETY

Niema boleśniejszej rany na ciele ludzkości jak handel żywym towarem. Tą pogardliwą nazwą pokryto hańbę i krzywdę, jaka dzieje się duszy ludzkiej, stworzonej na podobieństwo boskie i do nieśmiertelności przeznaczonej. Polska, niestety, jest krajem, w którym kobiety najbardziej na niebezpieczeństwo zostania żywym towarem są narażone. Niski stan oświaty jej ludności, wielka ilość wewnątrz państwa obcych pośredników, niemożność znalezienia chleba w ojczyźnie i stąd konieczność emigracji do innych krajów sprawiają, że setki tysięcy naszych dziewcząt idzie na złą drogę, marnieje w domach rozpusty.

Niedawno prasa nasza podniosła głośny alarm, że 5000 dziewcząt polskich, zaangażowanych do robót polnych w północnej Francji, weszło na złą drogę i zmarnuje się zupełnie; czas już też było, aby nasze ciało ustawodawcze zajęło się tą sprawą i nadało jej bieg, zgodny z uchwałami międzynarodowemi.

Wszystkie bowiem państwa cywilizowane weszły obecnie na drogę najsurowszych zakazów handlu kobietami i dziećmi i chodzi o to, aby Polska przystąpiła do wspólnej konwencji w tym zakresie. Sprawę tę uzasadniały na plenum Sejmu dwie posłanki: p. J. Kosmowska i p. Holder-Eggerowa. P. Kosmowska przemawiała w imieniu Sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych, której jest już długoletnią sekretarką, p. Holder-Eggerowa od Sejmowej Komisji Opieki Społecznej.

P. Kosmowska zaznaczyła, że jakkolwiek konwencja już 30 Września 1921 r. przez większość państw została w Genewie ratyfikowana, Polska wobec nawału swoich prac konstrukcyjnych, dziś dopiero do tego przystępuje. Jednak dwie komisje sejmowe: Spraw Zagranicznych i Opieki Społecznej nie zasypiały sprawy.

Wspólnie gruntownie ją opracowały a Komisja Spraw Zagranicznych jednogłośnie się opowiedziała za ratyfikowaniem konwencji, uznając, że uczestnicząc jaknajgorliwiej w sprawie zwalczania handlu kobietami i dziećmi, stanie tem samem w rzędzie państw cywilizowanych, a równocześnie pracować będzie nad sanacją własnych wewnętrznych stosunków.

Koniecznością jest tu takie oparcie całej akcji na podstawach prawnych, dorywczość bowiem działań nigdy skutku nie osiągnie, w myśl tę p. Kosmowska proponuje Sejmowi następującą rezolucją do przegłosowania: Sejm wzywa Rząd do rychłego przedstawienia ustawy karnej, co do zwalczania handlu kobietami i dziećmi, zgodnie z zasadami zawartymi w konwencji genewskiej. Mówczyni sądzi bowiem, że tylko surowem stosowaniem prawa, da się zniszczyć te liczne ogniska pośrednictwa, jakie powstają u nas, umożliwiające ohydny handel prowadzony pomiędzy wschodem a zachodem.

P. Holder-Eggerowa, przemawiając w imieniu sejmowej Komisji Opieki Społecznej stwierdza, że w 1923r. zapadła uchwała powołania do życia przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych biura noszącego nazwę Centr-biura do zwalczania handlu kobietami i dziećmi.

Równolegle z tem przy Min. Pracy i Op. Sp. powstał Referat, którego zadaniem jest inicjatywa ustawodawcza, oraz skoordynowanie wszystkich prac społecznych w tym kierunku. Jednomyślnie w 1923 r. powstał w Warszawie Polski Komitet walki z prostytutką.

Centr. biuro rozpoczęło już następujące prace: rozciągnięto nadzór nad pasportami, nad osobami zajmującymi się handlem żywym towarem lub stręczycielstwem, zaczęto gromadzić dane statystyczne, rozciągnięto kontrolę nad wyjeżdżającymi dziewczętami. Stwierdzono, że nadzwyczaj rozwinięta akcja tego ohydne-go handlu na ziemiach polskich przed wojną, która ucichła następnie w skutek zamknięcia granic, dziś znów się szerzy i tworzy się wciąż nowe agencje i domy transportowe. Niestety, wszystkie nasze organy wykonawcze nie okazują tyle energii jakby należało a jednocześnie i nasze ustawodawstwo karne nie obejmuje tych stron dostatecznie. Istnieją wprawdzie, działające w tym kierunku organizacje społeczne jak: Ochrony Kobiet różnych wyznań, Pomorskie Tow. opieki nad dziewczętami, Pols. Tow. walki ze zwyrodnieniem rasy, Magdalenki, Dobry Pasterz, Przystań i t.d., jednakże brak środków nie pozwala im spełnić tak rozległych zadań. Mówczyni sądzi jednak, że wobec ratyfikowania przez Sejm Konwencji, o co wnosi rezolucję posłanka Kosmowska w imieniu Komisji Spraw Zagranicznych, rząd weźmie na siebie obowiązek nie tylko zapobiegania tej ciężkiej hańbie i krzywdzie, ale i przyjdzie z pomocą działającym w tym zakresie organizacjom społecznym. P. Holder-Eggerowa, w swoim przemówieniu łączy się z poprzednią mówczynią i nawołuje do wysiłku w tym kierunku całe społeczeństwo. Obv ta sprawa jaknajszybciej i najpomyślniej była przeprowadzona.



Ś W I A T K O B I E C Y

(F e l i e t o n)

Młodzińcze, który z taką pewnością siebie zabierasz się do „urabiania” sobie żony—ostrzegam cię: nie ty ją ale ona ciebie, ona która cię na wylot przeniknie, ona ciebie po swojemu urobi. Nie ona do ciebie, ty nagniesz się do niej, na ciebie spłynie jej szlachetność, albo jej nikczemność.

To jest do tego stopnia prawdą stwierdzoną, że już się nią kierowały prawodawstwa. Rząd rosyjski, po wzbrowieniu Polakom kupowania ziemi na Kresach, Polakowi ożenionemu z Rosjanką pozwolenie na kupno wydawał, — ale Rosjaninowi ożenionemu z Polką pozwolenia tego odmawiał. Najczulszy syn obojętnie dla matki po ożenieniu i, choć nie kocha nawet żony, jej rodzina staje mu się bliższą, od własnej.—Kobieta wierna, jak pies domowi swemu, rodowi, kościołowi i ojczyźnie—kobieta ochrzciła świat! Mężczyzna czuje to „niebezpieczeństwo długowłose” i instynktownie boi się kobiety, jak słoń boi się myszy. Ale nie wie, niestety, jaką postać przybiera to niebezpieczeństwo? Kierując się logiką, sądzi, że jest to kobieta emancypowana, energiczna, mądra i ucieka od hic mulier’a. O, ta właśnie jest całkiem inoffensive; kobieta, która dowodzi, gniewa się, która rozkazuje, nigdy rzadzić mężczyzną nie będzie. Rządzi nim ta, która jest mu uległa. Ta skromnisią, której głosu nie słyszeć, ta miękka i giętka jak powój, której zalęknione oczy potulnego dziecka błagają o zmiłowanie nad swoją słabością i opiekę nad bezradnością—oto ta jest wielkim hypnotyzerem. Ona jest kondensatorem siły tajemniczej, której prądy uderzając wciąż o ciebie przeprowadzają w tobie prędoczenia, idące po jej linii, ale o których ona nawet może nie wiedzieć i ich nie żądać. Ona ci nigdy żadnego czynu nie nakaże. Ale po pewnym czasie ty będziesz czuć i myśleć tak, jak ona.

Suggestja jest potęgą Świata Kobięcego, który za jej pomocą bierze rewanż nad światem męskim.

„My rządym światem, a nami kobiety”—to jest żartem wypowiedziana bynajmniej nie połowa prawdy, lecz prawda całkowita, którą mężczyzna uświadamia sobie tylko żartem, a ona żartem nie jest. Kobieta rządzi mężczyzną — ale jaka??!

Nie rzesze niepoliczone zahukanych, pędzonych, strzyżonych i zarzynanych owieczek — nie rzesze niepoliczone pocziwych, zacnych, dobrych, szlachetnych, anielskich... rozumnych, mądrych i genialnych—Nie! te nie rządzą mężczyzną i nie panują nad światem.

Mężczyzna kocha się w nich, ach naturalnie! jakżeby mogło być inaczej?! One bywają przecież urodziwe, powabne, wesołe i młode! Ale. zastrzec się należy, kochają się w nich nie za ich wartości duchowe, lecz jakby pomimo nich!... pięknej, kobiecie wybacza się nawet wielką inteligencję! — tembardziej, że ona się z nią bardzo często kryje... kobieta nie raz udaje głupszą, słabszą, gorszą i niższą, niż jest... aby nie zrazić mężczyzny, niestety! Ale pomimo wszystko miłość jego do kobiet, posiadającej wysokie wartości ludzkie, jest zawsze jakaś taka anemiczna i nietrwała! Jego zmysły prędko się nią znudzą! On ją ogromnie ceni — on ją bardzo, bardzo szanuje! — ale szaleć?... za nią nie będzie! dla niej głowy nie straci. Jest zawsze reserve i zazdrośnie strzegący swoich przywilejów: *on nad nią panuje*.

Suggestja robi wyłomy w absolutyzmie męża dopiero po latach pozycia.

Im kobieta jest mądrzejszą, tem rzadziej dopuszczaną bywa do zaszczytu doradcy.—Im jest wyższą, tem częściej ćwiczą ją w cnocie pokory. Ona umie wzbudzić miłość, ale ona się nie zna na sztuczkach... i nie zniży się do kunsztownych sposobów utrzymania zmysłów w zaciekawieniu ciągłem... To też po dwóch, trzech latach dostaje dymisję z funkcji żony i schodzi na stanowisko bezpłatnej ochmistryni, której się z wieczora daje pieniądze na utrzymanie domu, burcząc, że za dużo wychodzi. Gniazdo miłości mężczyzna zwija sobie u jakiejś Syreny. I tej już nie opuszcza, ale często przepędza go ona! Namietność wielka, prawdziwie męska, silna jak śmierć, ta, która w krew przechodzi, jak nałóg, jak hazard i wódka... która wlece bezwonną ofiarę do upodlenia, ruiny, choroby, śmierci i zbrodni — człowieka najszlachetniejszego popycha do czynów niehonorowych, do sprzeniewierzenia się zasadom idei, ojczyźnie, byle swego fetysza obsypać zbytkami i wyżebrać u niego pieśczętę. Ta miłość, pod wpływem której mężczyzna pozwoli deptać po sobie i policzować się au figure i dosłownie... która go nauczy nawet powściągnąć straszne uczucie zazdrości i ścisnąć ręce kochankom żony, być mężem

z komedji, który niczego się nie domyśla. Tę miłość umie w mężczyźnie rozpaść tylko *kurtyzana*. A z pośród żon?!... żony bywają też kurtyzanami, *wykolejonemi* in potentia! — Kurtyzanami nie z zawodu, lecz z typu. A typ ten, nie pozbawiony często poezji *fleurs du mal*, umie niekiedy kochać do szaleństwa: *brutala* — ale uduchowionego, serdecznego... ze śmiechem rozkosznym chrustają jego ostre ząbki, jak kość mysz...

Kłamliwość posunięta do manji—komedianctwo jako l'art pour l'art—fałsz, blaga, beznadziejna pustota idjotyzm moralny, ociężałość hare-mowa, historyczne zachcianki—najdziksze fantazje i kaprysy — złośliwość demona: *On, to lubi*, to mu gra na nerwach, to mu robi kobietę zajmującą — zapala iskrę w jego oczach i budzi dreszcz: „*delicje kobietka*!” — to jest pejcz, smagający go po zmysłach. *Zło działa na zmysły podniecająco*. Mężczyzna kocha kobietę nie pomimo tego, że jest kanajką, lecz za to, że jest kanajką. Perwersja, zepsucie i rozpusta są takim w kbiecie magnesem, że dla nich darowywał jej już nieraz starość i brzydotę.

Formuła jest taka: Dobre kobiety cierpią przez złych mężczyzn. Dobrzy mężczyźni cierpią od złych kobiet. Czemu nie połączą się z sobą dobrzy?! Kobieta wyciąga ręce do swego duchowego brata — ale *on jej nie chce*. Jego krańcowy materializm erotyczny, jego á outrance zmysłowość czynią go wyznawcą szatana. Ten wielki umysłem i duchem we wszystkich innych dziedzinach woli i uczucia — w miłości tylko musi zejść na stopień zwierzęcia i, aby mózdz rozpętać w sobie całe zwierzę, szuka sobie do partji kobiety o niskich instynktach.

Kobieta z ostatnich dwóch pokoleń *świadomie* postanowiła naśladować kokotę: aby od niej odciągnąć mężczyznę, który od kobiet uczciwych uciekał, znudzony. Zaczęła z nią walczyć wyzywającym strojem, mową i zachowaniem. Dumne, niepokalane „*królewitko*” polskie zniżyło się do gestu wschodniej niewolnicy, która za ledwie gdzieniegdzie osłania ciało wątlą gazą, aby dogodzić *panu*, który nie chce targować kota w worku. Mdlejące jej powieki mówią mu „*rzuć na mnie chustkę..*”, a chwila znaku będzie chwilą spełnienia”. Kobieta dzisiaj atakuje pierwszą, to ona zdobywa mężczyznę, nie on ją!... Ona się rzuca na niego jak dziki kot, szarżując swoją żywiołowość, rozkrzyżowuje swój temperament, (którego nie ma!...) Ona zasypuje go komplementami — on robi obojętność, a nawet spuszcza oczy...

(c. d. n.)



MARJA Z KOSSAKÓW PAWLIKOWSKA

GWIAZDA ŚNIEŻNA

*I czemuż Ten co śnieg stworzył i gwiazdy lepi z niego,
architekt snów i djamentów, w warsztatach swoich niebieskich
nie robi z mojego życia gwiazdy zamiast ze śniegu,
zdobiąc ją równie misternie w ostrza, gałązki i kreski?*

*Stałabym w środku tak cicho, jakgdyby mnie już nie było,
patrzac jak się wkoło mnie dowcipna prześliczność zgęszcza,
a w każdym kancie tej gwiazdy me serce by głośno biło,
i drżało — by każde ostrze ściągając pioruny szczęścia
aż On by sam się zadziwił żyjącej gwiazdzie szczęścia...*

ŻYCIE

*Życie jest tak gwałtowne! Przerywa, nie słucha,
napada, krzyczy, tupie, męczy, zmienia maskę,
że aż sen ma gorączkę śpiąc w różowych puchach,
i bladym skrzydłem mocno bije o posadzkę.*

*Potrzeba tylko słowa, tylko gestu, listu,
by się złote pierścienie wygięły, skrzyły,
by spłonęły tęsknoty, jak suknie z batystu,
i pękło serce z wielkiej słabości i siły.*

SZMARAGD ŻYCIA

(TŁOM. Z HELENY VACARESCU, RUMUNKI)

*O wytrysku purpury w głębi szmaragdowej!
O życie moje ciepłe, ostre, wiecznie nowe!*

*Straszysz mnie ty i szmaragd zieleńszy od trawy,
w którym wzbiera purpura: krzyk krótki i krwawy!*

*O zakop gdzie Twój pierścień i snów niepokoję!
Życie me drży przedemną, widząc że się boję!*

*I mów czym żyje pierścień, gdy ty śpisz snem twardym?
I czy śmierć zdepcze krwawo-zielone kokardy?*

*I czy wszystkie szmaragdy purpura roztrąca?
I czy ja będę zawsze ostra i gorąca?*

RÓŻE

(PRZEKŁAD Z HELENY VACARESCU)

*Smutne, smutne, smutne, smutne,
są dziś róże w moim ogródku,
a jam smutna pośród smutnych
z wielkiego smutku.*

*O głogi, osty, pokrzywo,
o ciernie klujące skrycie,
O Życie! Nie jestem już żywą
przez ciebie, życie!*

BABCIA NA WIOSNĘ

*Niebo włożyło turban obłoczny z jaskółką,
Jabłonie stoją w wielkich kapeluszach z kwiatów,
Szeptania—pogłaskania lecą z pyłem kwiatów,
Omijając twarz moją, jako liść pożółkłą.*

*Lipy stroją się w jedwab zielony i nowy,
jak biżuterje szczęścia płoną sznury kwiatów,
pocałunki żeglują na muzyce kwiatów
mijając moją szyję w szaliku włóczkowym.*

*Zamknę najszczelniej serce przed śpiewem słowika
i pójdę przez gęszcz kwitnień, rozkwitów, o kwiatów
przez chmury całowanych, kołysanych kwiatów
nie śmiąc przypiąć do piersi fiołka czy sjorczyka.*

*Pod modną parasolką świat w śmiechu się trzęsie
Patrzy zabójczym okiem z za bukietu kwiatów
ma we krwi wszystkie wonie, wszystkie gwiazdy kwiatów,
i ma mnie, jak bezwiedną, zimną łzę na rzesie.*

FIOŁKI

*Fiołki jak i inne kwiatki, nie chciały mieć ust ni oczy,
rąk, które można załamać, włosów, co mogą posiwieć.
Wolały zamilczeć w trawie, zdaleka, na uboczu,
wolały nie być szczęśliwe, ani też nieszczęśliwe.*

*Fiołki nie chciały się spalić w pożarze na siódmym piętrze
fiołki nie chciały umierać na łóżku w krzyku i strachu
Nie chciały być wcale większe, mądrzejsze ani gorętsze,
życzyły sobie spokoju w niskim, fiołkowym zapachu.*

*Fiołki nie chciały miłości, tęsknot i czekań na listy.
Nie chciały płaczu marzenia, kiedy je na śmierć wzywają.
Wolały codzienną pszczołę obojętności złocistej,
która mu serca nie weźmie, bo go umyślnie nie mają.*

SŁOŃCE

H. VACARESCU.

*Kto Cię słońce uczynił tak jasnym tym razem
bursztynem na mej szyi, w mych oczach topazem,*

*wieńcem jaskrów na rękach, w sukni złotym złotem
i ostrzem na mem sercu—bojowym sztyletem?*

*Mój szal jest niby woda złożona w twym chwycie,
a me serce, jak pałac w ogrodów rozkwicie.*

*Okręcasz się, jak wstęga pod moim kolanem,
a z włosów czynisz kraty i klatki miedziane.*

*Me palce błyskawice rzucają na piasek,
nic nie jest ciemne, blade, wszystko ma swą krasę.*

*I czemuś tak podobne do żywej pieszczoty,
do ust całych ze śmiechu i do źrenic złotych,
do miłości, do szeptów, do objęć palących
od wszystkiego co boli — o dzisiejsze słońce?*

MAŁŻEŃSTWO ZYGMUNTA KIETLICZA

P o w i e ś ć

(Dokończenie)

— Przyjaciołom moim — poświęcam

Odetchnął ciężko i znów spojrzął na żonę. Pod otrzymanym ciosem, który zmienił trwożnie przecucia w przeraźliwą pewność, ugięła się jej jasna głowa. Długorzęse powieki bić poczęły ruchem strwożonym i bezradnym nad boleśnie pytającymi oczami. Nie rozumiała. Walily się pod jej stopami podstawy odwieczne pewne, na których zbudowała swe życie. Oszołomienie było tak wielkie, że wyklućzało narazie cierpienie.

Zygmunt uczuł dojmujące ostrze żalu — niby przenikliwy ból fizyczny. Lecz nic go nigdy zwrócić nie zdołało z drogi raz obranej. Mówił dalej tak blady, że jego posępne oczy wydawały się dwiema czarnymi otchłaniami pod groźnym łukiem kruczyczych brwi.

— Wierz mi, że wołałbym stokroć iść na niebezpieczeństwo najgroźniejsze — niż być zmuszonym mówić ci to, co mam do powiedzenia. Ale obłudne milczenie jest rzeczą nie do pomyślenia pomiędzy mną, a tobą. To zbyt przeciwne naturom naszym. Chcę, byś wszystko wiedziała. Masz do tego prawo. Taka rozmowa to rozdarcie boleśniejsze od rany. Ale musimy ją doprowadzić do końca.

— Pokochałeś tamtą kobietę? spytała Halszka cicho, jakby samym dźwiękiem słów przerażona.

— Tak, odpowiedział bez wahania, a ona mi tak absolutnie rzuciła pod nogi całą przyszłość, całe życie, wszystko, co stanowiło jej egzystencję dotychczasową, że byłbym łotrem, gdybym dziś odszedł od niej: Ją — bym gubił, a dla samego siebie nazawsze stracił szacunek.

— Tak cię kocha? pytała dalej tym samym lęklwym głosem.

— Jestem osiłą jej życia... Byłem oddawna, nie wiedząc o tem. To taki typ kobiety, która zatracca siebie w człowieku kochanym. Raz w życiu zdeptałem już miłość podobną. Mam wieczny wyrzut...

Wówczas wybuchnęła nagle ogromną skargą, krzykiem buntu:

— A ja? — a ja? — Cóż ty ze mną w tem wszystkim robisz?

Spojrzał na nią przeciągle, zaskoczony żywiołowością jej wybuchu.

— Ty masz tyle w życiu innych rzeczy, które cię zajmują... Miałem zawsze wrażenie, że jestem ci zbędny...

Tyle innych rzeczy! Jakże w tej chwili wydawały jej się niczem! — chłodnym cieniem bez krwi i życia — pustym dźwiękiem słów... wśród zawieruchy, która porwała w wir straszliwy — jej myśli, jej uczucia, jej wiarę

w szczęście i miłość... Oto odchodził od niej — za nowem szczęściem — i aby uciszyć żal nad nią, nurtujący mu w duszy, rzucił na pociechę — sobie, czy może jej?... „Ty masz tyle innych rzeczy“...

Spojrzała na niego rozpacznie. Wydał jej się — już nie za szybko, lecz na innym jakimś brzegu, daleki, owładnięty cudzą mocą, niepojętem zaczarowaniem... Na nic się zdało wyciągając ręce z wołaniem duszy całej... Czuli to aż nadto. Z ust jej wybiegło przecie pytanie drżące i ciche, błagające niemal o zaprzeczenie:

— Czy źle ci było ze mną?...

Odpowiedział równie cicho, ale stanowczo:

— Było mi z tobą — zimno...

Przyjęła te słowa, jak cios ostatecznie miażdżący. Bunt jej duszy złamał się i legł bezsilnie. W głowie skołatanej zbyt silnymi i nagłymi wrażeniami — i nocą bezseną, przemęczoną w wagonie, snuły się strzępy obrazów bez związku, nie kierowane jasną myślą. Słyszała słowa męża dolatujące jakby z głębi odległej...

— Mielśmy różne pojęcia o małżeństwie, o życiu wspólnem... A może ja poprostu nie dorosłem do twoich... Może być także, żeś ty się do moich nagiąć nie chciała — czy nie mogła... Gdy sobie wrócimy nawzajem swobodę, spotkasz z pewnością człowieka, który będzie myślał jak ty, który oceni w pełni to wszystko, co naprawdę jest w tobie niezwykłe. Co do mnie, to spotkałem swój typ niewątpliwie...

Buchnął w niej znowu protest uczciwej i nieskomplikowanej duszy...

— Ależ przysięgliśmy sobie na całe życie... Z własnego wyboru... z własnej woli...

Zwiesił głowę, zdjęty nagle, bezmiernem przynębieniem:

— To prawda, to prawda... I prawdą jest również, że to pierwsze zobowiązanie, jakie łamię w życiu... Nie umiem ci wypowiedzieć, jak mię ta

myśl zadręcza... Ale co począć? co począć?... życie się tak płacze, nawet takie, które wydawało się proste i jasne... My przecież w kłamstwie żyć nie możemy... Uduślibyśmy się oboje. Nieprawdaż?

Spoglądał na nią niemal błagalnie, szukając potwierdzenia. Z błyskiem zwykłej swej energii, odpowiedział dumnie:

— Prawda. Co zamýślasz czyścić?...

Odpowiedział natychmiast.

— Rozwiązać ciebie i siebie. Każdemu z osobna życie się może uśmiechnąć. Obmyśliłem wszystko...

— Już? spytała gorzko —

— Tak. Wiesz, że nawykłem do działania niezwłocznego. Chodzi tylko o twoją zgodę...

— Sądę że po tem wszystkim co usłyszałam, będzie to już tylko forma...

— Aby ułatwić wyjście z ciężkiej sytuacji — opuszczę Warszawę. Porobiłem już, starania aby mię wysłano do Francji dla obznajmienia się z kierownictwem samolotów wojennych. Zawsze miałem do tego pociąg. Zrobię wszelkie starania, abyś mieszkanie to zatrzymać mogła. Napiszę do stryja Konstantego, by w każdej chwili i na wszelki sposób służył ci radą, opieką, pomocą. Wiem, że to robi i że można na niego liczyć. Sprawę rozwojową oddam w ręce przyjaciela mego, Jasiulewicza. Nie będzie trudna do przeprowadzenia. Wszystkie winy wezmę na siebie...

— Widzę żeś już wszystko istotnie przemyślał — dokładnie. To dla mnie. A ona... tamta?... spytała wahać i cicho —

— Ona... koniecznie chce jechać ze mną. Stara się o posadę na wyjazd...

Zapadła cisza długa, ciężka; słychać było niemal, jak snuły się ich myśli oddzielnymi nurtami...

Rwały się boleśnie ogniwa, wiążące dwa życia. Odchodzili od siebie w przyszłość zamgloną, która Halszce wydawała się pustynią. Krzyk buntu raz jeszcze wyrwał się z najtajniejszych głębin jej serca —

— Mielśmy wszystko!... Nieśliśmy sobie tyle darów nawzajem... Kto winien temu co się stało?... Kto winien?...

Ruchem bezmiernego zgnębienia, opierając na ręku znużoną twarz, Zygmunt Kietlicz odpowiedział głucho:

— Ja nie wiem!...

Koniec



5)

G A B R Y E L K A R S K I

O ARCYDZIELE EDMUNDA ROSTANDA

(D o k o ŋ c z e n i e)

Zauważmy przedewszystkiem fakt, iż stosować tego rodzaju krytykę, której rzecznicy, według określenia Jouberta, — „ilekroć chcą się roześmiać, pokazują popsute zęby“ — jest niezmiernie łatwo, dla tej choćby przyczyny, że, jak powiada R. Rolland, łatwiej jest cisnąć kamień w dół, niżeli wyrzucić go do góry.

Owoż, w tego rodzaju krytyce można bez trudu wykryć trzy główne *truc'i*.

Pierwszy polega na tem, że się rozmyślnie wyzyskuje aksjomat: „*chacun a les défauts de ses qualités*“ i w tym „*duchu*“ dokonywa się wiwisekcji utworu, a że sparodjować ostatecznie można wszystko, — operacja taka zawsze się udaje.

Drugi, (znakomicie określony przez samego Rostanda: „*applaudir un écrivain sur les joues d'un autre*“...) zasadza się na wymaganiu od artysty tych cech, jakich z natury rzeczy brak jego organizacji twórczej. Krytyk tedy od przejrzystości galijskiego Rostanda będzie żądał niemieckiej albo skandynawskiej głębi, wyrzucając mu, iż nie jest Goethe'm lub Ibse'em; mając do czynienia z intuicjonistą będzie ganił w jego dziełach „nierówność“, podkreślając brak „pogłębienia“ filozoficznego i „staranności“ w psychologii; oczywiście, gdyby autor był „*klasykiem*“ w rodzaju np. szacownego wicehrabiego de Bornier*) nie minąłby go zarzut chłodu i braku oryginalności... słowem — stara niezawodna recepta: do ważki żywi się pretensję, iż nie zbiera miodu, do pszczoły zaś — że skrzydła jej nie mienia się tęczowol!

Trzeci wreszcie *truc* — najniesmaczniejszy, wypływający z fatalnie zakorzenionego przesądu (o ile nie poprostu z perfidji) — to zagłębienie przez dziurkę od klucza do wnętrza domu artysty, podpatrywanie intymnych szczegółów jego jadalni (a nieraz nawet i sypialni...), plotkarskie — na modłę „*pracowniczek magla*“ — interesowanie się jego codziennymi *faits et gestes*, konfrontowanie jego życia osobistego z treścią jego dzieł, słowem nadmierne zajmowanie się jego biografią zamiast bibliografią. Trudno tu zresztą być zbyt bezwzględny, kwestja to drażliwa i bynajmniej nie zdecydowana we wszystkich kryterjach. W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: to, że krytyka winna przedewszystkiem zajmować się bibliografią nie zaś biografią twórcy. (Dość bowiem i na naszym gruncie wyrosło

brzydkich kwiatków zachwaszczających niwę krytyczną: że wspomnę znaną „*naganke*“ na Henryka Sienkiewicza*), z drugiej zaś strony — osławione „*sprawy*“ Kraszewskiego, Kaczkowskiego, Deotymy i Brzozowskiego).

Takie oto systemy stanowią źródło owych zarzutów: kabotynizmu, pustego werbalizmu, powierzchnowości, płytkości, efekciarstwa, braku psychologii, braku „*szczeroci przeżycia*“) i t. d. i t. d. w tym rodzaju, — jakimi dość gęsto ostrzelano Rostanda.

Nie będę rozwodził się nad temi zbyt obszernie: to co wyluszczyłem powyżej dostatecznie, sądzę wyraża moje stanowisko, a przedewszystkiem dzieło Rostanda najlepiej samo się broni.

Zauważę więc tylko, że twierdzenie o „*płytkości*“ tego dzieła dowodzi raczej „*płytkości*“ jego krytyków... tych mianowicie, co, stosując wymienione tu metody, zdają się zgola nie uznawać u artystów różnorodności w sposobach patrzenia na świat i wypowiadania się. Dla mnie stwierdzenie *współrzędności, oboczności*, filozofji powiedzmy, Ibsenowskiej i... Rostandowskiej bynajmniej nie jest herezją! Owszem, różnolitość jest przecie we wszystkiem arcyposażana, a skoro cel osiągnięty — wszystko w porządku! Nic tedy nie poradzę na to, że ja u „*płytkiego*“ Rostanda znajduję wcale niepoślednią „*głębie*“. Że zaś wszystko u niego jest podane w pełnej wdzięku a przytem nader przejrzystej i przystępnej formie — to faktu tego nie potrafiłbym zganić, lecz wystarczy mi stwierdzenie, że dzieło jego jest *par excellence* dokumentem geniuszu rasy łacińskiej. Być może, że w subiektywnym swym sądzie, reaguję żywiej niżeli ogół polskich widzów i czytelników na urok tego właśnie geniuszu, mając w żyłach sporo krwi francuskiej, będąc w tej kulturze wychowany i bliski jej — podobnie jak mój znakomity kolega Boy Żeleński — przez szereg studiów specjalnych i tłumaczeń. Obiektywnie jednak bronie owej, oczywiście dla mnie, tezy *współrzednego*

traktowania mistrzowskich dzieł. Co się zaś tyczy tej nieszczęsnej popularności, którą usiłowano kluczyć Rostanda, to mniemam, iż dostatecznie zwróciłem uwagę czytelników na rodzaj tej popularności, nic wspólnego właśnie nie mającej z taniem schlebieniem niewybrednym gustom t. zw. szerokiej publiczności, owych zwolenników różnych Staśków, czy innych Mniszkówien. I sądzę, że nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż taka popularność zawarta w dziełach przejrzystych i pełnych prostoty stanowi przecie jedno z głównych znamion arcydzieł epicznych (Mickiewicz, W. Hugo), czy dramatycznych (Molière), które wszak mają równe prawo do życia, jak arcydzieła mniej dostępne masom (Słowacki, Norwid, Wyspiański).

Jak rzekłem, dzieło Rostanda samo najlepiej się broni przeciw zarzutom, jakimi zasypiano autora. Dzieło więc jedynie miejmy na względzie. To będzie jedyne właściwe nasze stanowisko, stanowisko doskonale określone przez Ostapę Ortwiną w jednym z jego artykułów*): osobistość autora i jego psychika „*nie powinny obchodzić nas ani bezpośrednio, ani pośrednio więcej, niż osobistość artysty-plastyka, którego obraz oglądamy, lub psychika kompozytora, gdy odgrywamy jego sonatę*“(**). Wtedy wystarczy nam całkowicie *szczeroci artystystyczna* twórcy „*Cyrano de Bergerac*“, zaś jego wyznanie wiary wyrażone w całej pełni w szeregu owych „*Non, merci!*“ (Akt II, scena VIII) oraz w końcowym monologu Cyrana, gdzie tak dobitnie piętnuje snobizm, kabotynizm, służalstwo, zależność, ustepliwłość, system „*il vaut mieux faire une visite qu'un poème*“ i wypowiada walkę kompromisom i przesądom, gloryfikując jedynie swobodę i ten „*biały pióropusz*“ artysty, ów osławiony przezeń *panache*, jedyny jego, lecz jakże rozkoszny i porywający kabotynizm: to jego credo rozproszy w pył ową chmurę zarzutów.

Przejmijmy się tedy owemi aspiracjami, niech ich piękny dzwon rozkołysze nam serca... i dajmy pokój Rostandowi-człowiekowi. Przesta-

*) Wspaniała odprawę tym „*naganiaczom*“ dał w swym tomie studiów i szkiców p. t. „*Panmusaion*“ niedżałowany J. A. Kisielewski.

**) Kwestję „*szczeroci poetów*“ kapitalnie ujmuje Georges Duhamel w tomie „*Les poètes et la poésie*“ (Paryż), szereg artykułów, składających się na pierwszą część tej książki, przetłumaczył autor tych słów i ogłosił w „*Kurjerze Polskim*“ w r. 1919, obecnie zaś Tow. Wyd. „*Ignis*“ przygotowuje edycję książkową p. t. „*O poezji*“ w serji wydawniczej: „*Książki Ignisa*“.

*) Przegląd Warszawski, № 28, styczeń 1924 (Ostap Ortwin: „*O liryce i wartościach lirycznych*“).

**) Celem uniknięcia zbyt osobistej dygresji teoretycznej na temat roli i znaczenia krytyki literackiej, odsyłam czytelnika do następujących dzieł: W. Feldman „*Współczesna literatura polska*“ str. 514 oraz Alfred Poizat „*Le symbolisme*“, Paris, 1919, wyd. „*La Renaissance du livre*“, (rozdział wstępny) i Pierre Lasserre: „*Les chapelles littéraires*“, Paris 1920, wyd. Garnier Frères (ibid.).

*) Którego Rostand został następcą w Akademii Francuskiej. Sakramentalny *Discours de réception* z pochwałą poprzednika okraszył Rostand nadzwyczaj dyskretną, finezyjną ironją.

niemy wówczas wytykać mu jak nad tem ubolewa jeden z jego, biografów**), wręcz to, że był zbyt szczęśliwy! Może na dnie tego powiedzenia kryje się istotnie odrobina słuszności, gdyż ból pogłębia psychikę artysty przypominającego słowika, który, gdy mu oczy wylupią, pono najpiękniej śpiewa... może rzeczywiście na twórczości Rostanda zaciężał fakt, że poeta nie dość cierpiał w życiu...

**) Louis Haugmard: „Edmond Rostand” (Paris, E. Sansot et C-ie).

Lecz, powtarzam, dajmy mu pokój! Nie przystawajmy do falangi tych, których drażniły owe brząkadła fortuny, wrzawą swą towarzyszące krokowi artysty na tym padole: pieniądza, sława, zaszczyty, wybór do Akademii w trzydziestym piątym roku życia, nagrody konkursowe, odznaczenia, order, Legja Honorowa, nieustanne procesje rodzimych i amerykańskich reporterów, szturmujących

do przepięknej rezydencji w Arnaga... I z tej wspaniałej rezydencji, wśród której, przepychów rażony aneuryzm serca, przedwcześnie zmarł Edmund Rostand, niechaj nam zostanie w pamięci jedynie trzy posągi marmurowe u wylotów gładziutkich alejek parkowych czuwające... Shakespeare-Cervantes-Victor Hugo...

Nota. O życiu i całokształcie twórczości Rostanda traktuje wyczerpująco Jules Haraszti w monografii p. t. „Edmond Rostand” (Paris 1923, E. de Boccard éditeur).

JERZY SZANIAWSKI

PAN Z KSIĄŻKI

N O W E L K A

Wieczór wiosenny—parno. Miejskie podwórze. Z trzech stron wysokie mury kamienicy—z jednej strony parkan, za parkanem drzewa, w górze — gwiazdy. Okna pootwierane.

Z mieszkania zwanego „stancją dla uczniów” — wyszło dwóch chłopców. Stanęli na podwórzu. Poczuli zapach drzew, spojrzeli na gwiazdy. a potem, ujrawszy otwarte okno na parterze, poczęli żywiej i pilniej się wpatrywać: pokój, ponsowe obicie — przy biurku stary pan... Pan chudy w czarnym surducie. Twarz ma zupełnie wygoloną. Pan pisze. Zagląda do książki — znów pisze.. Kto to?... Jeszcze tego pana nie widzieli. Musiał się sprowadzić dziś, wczoraj...

Nie widzieli? A jednak...

Przypominały się chłopcom postaci gości widzianych dawno w rodzinnym domu. Nie... Taki tam nie był nigdy... Myśl chłopców zaczęła przewracać kartki starych książek z ilustracjami, oglądanych w zimowe wieczory. Podobni panowie byli może tam, w pożółkłych drzeworytach. Panowie starzy, wygoleni, co noszą surduty, cylindry.

Jak cicho jest w tym pokoiku starego pana... Bardzo cicho... Jeden z chłopców wyrwał z notesika kartkę, zrobił małą strzałę i puścił ją w okolicę piszącego pióra. Stary pan obejrzał strzałę, zastanowił się, położył ją na książkach — pisał dalej.

Bardzo spokojny jest ten pan.

Znów poleciała strzała, trafiając w koniuszcek ostrego nosa, zawieszonego nad papierem. Pan przestał pisać. Wstał od stołu, zbliżył się ku oknu, mówił.

— Rzut był mistrzowski. Strzała trafiła w koniec mego nosa. Strzelec musi być bardzo zadowolony. Ja również. Bo czy jest coś miłszego dla człowieka, niż uszczęśliwianie bliźnich?

Stał chwilę — czekał na odpowiedź. Żaden głos jednak nie odzywał się z ciemności. Więc pan usiadł przy stole i znów zaczął pisać.

Małeńkie kamyczki przelatywały teraz nad głową chudego starca, padając blisko zegara. Nareszcie kamyczek trafił w wahadło — zegar stanął.

Spokojny pan znów zaczął mówić.

— Zatrzymaliście zegar. Ale cóż z tego? Nie patrząc na te wskazówki nadejdzie niezadługo śmierć, aby zatrzymać, jak wahadło stare moje serce. Nie patrząc na ludzki nasz zegar nadejdą najpiękniejsze lata waszego życia, każąc kochać, śmiać się, drwić z niebezpieczeństw, z radością stawać do walki. Więc powiedzcie, proszę, cóżście mi uczynili? Czy znajdujecie owoc waszych usiłowań?

— Jak on do nas mówi? Gada jak książka.

Jeszcze raz spróbowali wyprowadzić pana z równowagi: gdy tylko zaczął pisać, kawałki lepkiego błota padały na portret młodej kobiety, który wisiał w czarnych ramkach pod szkłem na ponsowej ścianie. Po chwili twarz kobieca zniknęła pod plamą.

A pan... widocznie człowiek niepraktyczny, zamiast zamknąć okno, znów zaczął mówić.

— I cóż z tego, że zakryliście błotem twarz tej kobiety? Choćbyście zniszczyli zupełnie portret—nie zdolacie zbezczeszczyć tego, co jest dla mnie święte, nie zdolacie wyrwać z mej pamięci ukochanych rysów, które znam od wielu, wielu lat...

— Dosyć — pomyśleli chłopcy — dosyć tego pana. Gdyby przyszedł on do ich dworu w wieczór zimowy koło

Bożego Narodzenia, gdy mróz na szbach wymaluje kwiaty — a w ciepłym pokoju pali się lampa, kto wie, może mógłby wówczas opowiedzieć coś, co jest napoły bajką, napoły opowieścią prawdziwą, a słowa jego byłyby ciche, kojące jak śnieg... Ale dziś... siedzieli nad książką, a tu znów coś jak książka... Dziś czują, że chcą dźwięku, gwaru, ruchu, walki, a tu wszystko jest stłumione, senne, w ten wieczór gorący, parny, wiosenny.

Podeszli do innego okna. Zobaczyli kobietę w rozpiętej bluzce na piersiach, nie starą, tęgą i niebrzydką, co zasnęła siedząc nad stołem. Odczuli, że w tej kobiecie jest siła, jest życie. Tylko śpi. Zbudzić to życie!

Budzili: jeden wziął gumowego węża od hydrantu i celował w pierś bujną, nagą, widoczną z pod rozpiętej bluzki. Drugi chwycił za kran. Trysnęła woda.

Straszny krzyk kobiecy. Kto żył w domu drgnął, poruszył się, pospieszył ku oknu. Stary pan pomyślał:

— To ich sprawka.

Odłożył pióro, zapatrzył się na sufit i myślał znów.

— W gorący wieczór wiosenny, gdy pachną kwitnące drzewa, a sieci gwiazd łowią płynące ku górze ludzkie tęsknoty, uczuli w swych piersiach wezbrane siły. Tajemne, ciche siły, jak źródła podziemne szukają dla siebie ujścia. Nieświadome pachole czuje w sobie soki wiosenne, niby kwiat, który się jeszcze nie rozwinął w słońcu. Chłopcy w wiosennym niepokoju błądzą, szukają... Gdyby szli teraz po łące, rzuciliby ku lasom swój młody głos, a od lasu doleciałoby echo. Tu lasu nie było... Ale echo znaleźli, nader głośnie echo. O, jak pachną drzewa w ten wieczór cichy, gwiazdzisty.

Zanim pan myśлом swoim skończył nadawać formę wykwinną, chłopcy już byli w mieszkaniu. Otworzyli książki i zaczęli się gorliwie uczyć. I przygotowali miny do okazania największego zdumienia, gdyby ktoś do nich, że oni... Oni? Ależ skąd?!



ZLITERATURY KOBIECEJ W PARYŻU

(Huguette Garnier, Rogex de Nercy, Christian Fournier i Simone Téry).

Pani Garnier młoda i energiczna redaktorka „Naszych Wczasów” (Nos loisirs) pisma kobiecego dość rozpowszechnionego w Paryżu, dzięki przystępnej cenie i ładnym ilustracjom, jest równocześnie autorką sporej ilości nowel, drukowanych najczęściej w „Le Journal”, jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym dzienniku paryskim, a świeżo wydała powieść „Quand nous étions deux” (Gdy nas było dwoje). Historia niewesoła, ale prawdziwa w niektórych kołach literackich paryskich. Młoda dziewczyna z dużym zapasem idealizmu i dobrych chęci, ale z bardzo szczupłym багаżem wiadomości gospodarskich i praktycznych, zaślubia młodego, obiecującego literata. Oboje są biedni. W pierwszych miesiącach wszystko wydaje im się miłym i łatwym do zdobycia, ale niezadługo zaczynają się zarysowywać pierwsze rysy, a później i szczyrby na ich kryształowej bańce szczęścia. Mąż pragnie ująć wszechwładnego kuzyna wielkiego wydawcy i w tym celu zaprasza go na obiad, ale Liza (imię żony) nie ma pojęcia o kuchni, potrafi tylko ładnie przybrać stół kwiatami. Oczywiście obiad jest niemożliwy, małżeństwo rozgorzyczone godzi się po parogodzinnych gniewach, ale po pierwszym nieporozumieniu następują inne. Nie są to nadzwyczajne wypadki, ani ciosy ogłuszające, ale drobne, drobnutkie wydarzenia codzienne, zwykłe. Z prawdziwie kobiecą przenikliwością maluje autorka te szare, wątle sieci pajęczce, które jednak w końcu tak opręda młodą parę, że wreszcie rozejdź się smutna, znużona i w gruncie rzeczy nie rozumiejąca, o co właściwie rozbiły się jej usiłowania i jej szczęście.

Pesymistką również, choć wzdychającą do słońca i do ideału jest pani Roger de Nereijs, młoda poetka i powieściopisarka. Wydała ona świeżo—zbiór poezji zatytułowany „Pierwsze Sonaty” i pisany w formie sonat muzycznych. Forma ta zaczyna wchodzić w użycie w nowoczesnej poezji: we Włoszech użył jej z powodzeniem słynny autor, Giovanni Papini. Jednak forma to dość niebezpieczna dla młodych poetów, wymaga bowiem nietylko pewnego poczucia muzyki wiersza, ale i oprócz opanowania formy, dużego rozmachu i siły wyobraźni.

Pani Roger de Nereijs zdała sobie wybornie sprawę z tego niebezpieczeństwa i odrzuciwszy koronkowe wykwintne poemaciki, poruszyła tym razem w swej poezji problemy usymbolizowane współczesnego życia. Oburza ją brak ideału w dzisiejszym świecie, szarość pozioma ni-

szcząca wszelkie piękno, brak czystego powietrza, bez którego w kurzu i ciasnocie duszą się moralnie lepsze jednostki. Ale mimo to wszystko wierzy poetka, że idealisci zwyciężą, byle nie utracili wiary w siebie i we własny ideał. Nikt nie walczy skuteczniej, jak wytrwałe cierpienie pełne nadziei.

W drugiej, maleńkiej, ozdobnie wydanej książeczce „A fleur d'âme” (Na powierzchni duszy) widzimy za to drobne, misterne poemaciki w których więcej wyobraźnia, niż dusza kobieca opowiada nam swe troski, zawody i marzenia.

Wreszcie, aby skończyć z pesymizmem kobiecym, muszę wspomnieć o romansie panny Chrystjany Fournier, uwieńczonym pierwszą nagrodą dla kobiet piszących, „Adam, Ewa i wąż”. Tło wojny, smutne, trwożnie zadumane, stara Sorbona pełna młodziutkich studentów i inwalidów: pierwszy—oczekujący lada chwila wezwania, drugi—znużeni i trochę oderwani od życia, oraz młode dziewczyny, żyjące w ustawicznym napięciu nerwów i szukające punktu oparcia w nauce. Zaledwie zadzierzgnięty węzeł romanisu wół-dziecinne, bo on wyjeżdża na front i ginie na froncie, a ona nie zdaje sobie prawie sprawy, jak można odejść tak nagle, będąc pełnym sił i życia. Wąż może i krążył dookoła tej młodej pary, ale Adam i Ewa nie mieli czasu ani na refleksję, ani na grzech. Mimowoli myśli się o pączkach drzew w kwietniu, które zawarzył nagle niespodziany ostry zimrozek.

Ale otóż i młody dziarski akord w tej melancholijnej pieśni kobiecej: książka panny Szymony Tery: „W Irlandji”. Autorka, młoda dziewczyna energiczna i idąca o własnych siłach przez życie, odbyła dwukrotną podróż po Irlandji w czasie walk o wolność. Mimo bolesnych wydarzeń, jakie przychodzi jej opisywać nieraz, mimo martyrologii irlandzkiej, gdzie świeci jasnym blaskiem męczeństwo lorda mera z Cork, bohaterskiego Terence Swiney, książka jest tak pełna otuchy i wiary w przyszłość tak wesoła i dźwięcznie gra w niej żołnierska pobudka, że czytelnik wynosi z niej raczej wrażenie wesołe, niż smutne. Z humorem opisuje też młoda autorka rozmaite przygody komiczne i własne, i naczelników powstania irlandzkiego podczas wojny z Anglią, drwiąc nieraz z wyprowadzanych z ręcznie w pole Anglików. Książka panny Szymony Tery spotkała się z bardzo przyjaznym przyjęciem krytyki francuskiej; autorka przygotowuje obecnie antologię i historię literatury irlandzkiej, poczem może wywoła na papierze swe wspomnienia marokańskie, gdyż przebyła lat parę w Maroko francuskim, jako nauczycielka gimnazjum.

Wreszcie wspomnieć wypada, gdy mowa o świecie egzotycznym, o powieściach annamickich, pani Chi-

vas-Baron, dwukrotnej laureatki Akademii Francuskiej. Wieje od nich wonią jakichś wschodnich różańców, starych szczelnie zamkniętych szkatulek chińskich bonzów, lub drobiazgów z sandałowego drzewa. Autorka jest jedną z bardzo rzadkich kobiet europejskich, które mieszkały w głuchym Annamie, w głębi kraju prawie obcej jeszcze cywilizacji, w tak zw. „la brousse”. Szczególniej żywo i ciekawie opowiedziane są historie tych annamitek, jednej zupełnie nie mającej pojęcia o świecie europejskim, drugiej wół-ucywilizowanej i trzeciej prawie sfrancuziałej. Obecnie mówi się o pani Chivas-Baron, jako o jednej z kandydatek do „grand prix colonial” udzielanego co rok za najlepszą powieść na tle życia kolonii francuskich.

Dr. M. Kastarska

Na polach pracy i twórczości

NAGRODA KONKURSOWA.

Na konkursie literackim, ogłoszonym przez „Słowo Pomorskie”, otrzymała nagrodę współpracowniczka naszego pisma p. M. Do mańska. Nagrodzona nowela, p. t. „Orleńta”, po wydrukowaniu w „Słowie Pomorskim”, ukaże się w wydaniu książkowym, nakładem drukarni Św. Wojciecha w Poznaniu.

EMIGRANTKI POLSKIE WE FRANCJI.

Nietylko robotników mężczyzn, ale i robotnice z Polski pociąga wyludniona Francja.

Część tych emigrantek naszych — to robotnice fabryczne, które znajdują zajęcie w przedsiębiorstwach lub fabrykach tkackich. Znaczna większość jednak stanowią robotnice rolne, sezonowe, zamawiane do pracy na folwarkach. Żle się dzieje we Francji naszym Marysiom i Zośkom. Przeważnie analfabетки, nie umieją bronić się przed wyzyskiem. Z ich bezradności korzystają nieuczciwi chlebobdawcy w ten sposób, że zamieniają im kontrakt służby folwarcznej na kontrakt służby domowej, znacznie gorzej wynagradzanej, odracając przytem kosztą sprowadzenia robotnicy i zwalając na nią wszystkie najcięższe prace gospodarskie.

Tak podobno w roku ubiegłym 5 tysiącom robotnic sezonowych bezprawnie zamieniono kontrakty. By uniemożliwić robotnicy polskiej wyszukanie sobie opieki, rady, pomocy, zamyka się jej ubranie, buciki i t. p.

Niezadowolone z warunków życia dziewczęta często uciekają od niesumiennych pracodawców, a nie rozumiejąc języka, nie znając kraju i jego zwyczajów, stają się prawie zawsze pastwą handlarzy żywym towarem; dostają się do domów publicznych we Francji, lub są wywożone za ocean. To też z kolonii polskich płyną głosy ostrzeżenia, zwłaszcza pod adresem kobiet samotnych bez rodziny, przed wyjazdem na robotę do Francji.

Miejmy nadzieję, że prowadzone obecnie układy w sprawie emigracji, między rządem polskim, a francuskim — unormują smutne położenie roboczego ruchu naszego w sprzymierzonym państwie i położą kres wielu nadużyciom.

W WALCE Z PROSTYTUCJĄ.

Sprawozdanie sekcji przystaniowej Tow. Ochr. Kobiet podaje za r. 1923 następujące cyfry:

W tak zwanej „Przystani“, leżącej w okolicach Warszawy, znalazło schronienie w ciągu roku ubiegłego 225 kobiet, pragnących zawrócić z haniebnej drogi życia.

Z tych 59 otrzymało zajęcie jako służące, 41 wróciło do rodzin, 21 umieszczono w zakładzie Magdalenek, 10 chorych w szpitalach. Nadto 50 matek z dziećmi bądźto znalazło zajęcie, jako służące, bądź też powróciło do życia rodzinnego.

Samowolnie opuściło zakład 44 i te prawdopodobnie wróciły do dawnego sposobu zarobkowania.

WIECZÓR AUTORSKI

W. STYCZ-NAGLEROWEJ.

Autorka w Warszawie mało znana, drukująca utwory swoje przeważnie w prasie literackiej, dała nam sposobność zapoznania się z twórczością swoją na wieczorze autorskim w Polskim Klubie Artystycznym w Polonii.

Oryginalny! lot fantazji, niepowседневna siła i wizjonerstwo, łamiące się dźwięcznym rytmem — to właściwości cenne jej niepowszedniego talentu.

Z KSIĄŻEK

Stefan Żeromski — „Między morze“ — Warszawa, 1924. Wydawnictwo J. Morkowicza. Nakład T-wa Wydawniczego w Warszawie.

Nowa książka Żeromskiego o Helu wyryka się z pod wszelkich określeń, jeżeli idzie o rodzaj literacki.

Budowa całości jest niejednorodna i kapryśna, rzekłbyś upodobniła się grze fał, które autor wystawia. *Wysławia* — to powiedzenie wydaje mi się najbardziej pasować do nowej pieśni wielkiego syna ziemi, po raz drugi witałego w Polsce powracającego do ojczyzny morze.

Jest w patosie lirycznym tej przedziwnej książki coś z hinduskich poematów. Starożytna wspólność rasy wynika z tych uroczystych okresów, jak niespodziany krzyżak swastyki. A co do budowy, to „Między morze“ podobne jest chyba starodawnym bylinom słowiańskim, czy odwiecznej ludowej pieśni północnej, której różne części nadpływają z różnych stron życia, zrastając się gwoździem nierozumnej konieczności, jaką jest nagromadzenie się uczuć.

Tak właśnie łączą się luźne poematy książki, związane jedynie tylko namiętym entuzjazmem, jak niewidzialne westchnienie przenikające te stroniczki od pierwszej do ostatniej.

Oto wschodzi, oto jaśnieje dzień na plaży Helu, oto nadchodzi noc, oto burza wynika z jej ciemnych głębin. Stąd, poprzez ekstatyczny obraz nagich ludzi na wybrzeżu, zejście do życia pozaludzkiego — między łosie i mewy, płastugi, śledzie, ukleje, dorsze i turboty.

Z pomiędzy nich, z chłodnego życia głębin osunięcie się do wspomnień prahistorji, gdy Wisła przerzynała równiny Europy, stu odnogami rzucając się aż do północnego morza. I oto porywające zejście do życia elementów — wiatr, piach, prądy morskie — huk fali.

I znowu jak powracająca melodia — *człowiek*. Oto zbój ryb i okrętów. Pierwotny mieszkaniowiec tego nikłego skrawka ziemi, na którym tak cudaczne życie szalało poprzez wieki, wśród targań się zatoki i burz wielkiego morza. Tutaj nieco za dużo szczegółów historyczno-kronikarskich. Przyjmujemy je, bo tak chce Żeromski, ale one obniżają siłę artystycznego widzenia. Tylko, że wyłania się z ich nieodparty czarów pełna cantilena o relikwjach Świętej Barbary, będąca żalosnym zadumaniem się człowieczego serca nad dziwnymi powinowactwami świętości i zbrodni.

Minąwszy historję utwierdzenia się małego społeczeństwa Helskiego — Żeromski zakończył swoją rzecz tragiczną klechdą o dwóch braciach rybakach.

Ta powieść sama w sobie stanowi przepiękną nowelę, tak samo, jak całością sam w sobie jest na początku książki niezrównany opis dnia na Helu.

W ten sposób akordy uczuć chaotycznych i gwałtownych tej muzyki zostały zamknięte w dwa złote hejnały nieskazitelnego artyzmu.

* * *

Zdawałoby się, że trudno jest wzbogacić jeszcze przepych słowa, jakim włada Żeromski.

I w istocie to co dodał w tej książce do jego dawniejszej piękności, błyszczący, jak garście nowych brylantów na stroju już i tak bez granic olśniewającym.

Polskie słownictwo literackie zostało tu wzbogacone tak wielką liczbą słów z gwary pomorskiej, że autor widział się zmuszonym do umieszczenia na końcu słowniczka.

Jednak do samego stylu rozpatrywanego jako środka budowania artystycznego, nic nowego chyba nie przyrosło.

Jest to znany nam dostojny styl z „Dumy o hetmanie“ w całym swym wielkopaństwie.

Każde zdanie zaczyna się, jak sama w sobie zbudowana strofa.

Natężenie lirycznego patosu i porywający wzlot ekstazy osiągnięte zostały sposobami, którymi tylko taki mocarz jak Żeromski może władać zwycięsko bez obawy, że stanie się zimny.

Jesteśmy tu bowiem nieomal na granicy tego, co się nazywa skandowaną prozą poetycką, a co jednak zachowało żar i bezpośredniość mowy poufnej. Orzeczenia i podmioty zostały przestawione w niebywałe dla nich miejsca, jak to się czyni w poezji. To znów autor odsunął je wzajem od siebie za pomocą istnej tęczy wzmacniających wrażenie określeń, to użył superlatywów, wywołujących poczucie, że przeżycie artystyczne zostało doznane w sposób ostateczny — to słowami podstępnej tklivosti wszystko potężne i dalekie uczynił bliskim i poufale pieśczętliwym.

* * *

Dwie książki Żeromskiego o morzu są zresztą nie tylko wydarzeniem artystycznym.

Jak pieśń na trąbce wygrana, nie przejmując być pieśnią, nienaumyślnie jest pobudką do czegoś beziemiennie wołającego, — tak „Między morze“, podobnie jak „Wiatr od morza“ — nawiązuje wciąż, a wciąż, byśmy oczy obrócili w tę stronę — gdzie się zaciąga groźny, istotny węzeł dramatyczny dziejów Polski: — w dziedzinie żeglarskiej.

M. Dąbrowska.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Kazimierz Przerwa-Tetmajer — „Na skalnem Podhalu“. Opracowane podług oryginału dla młodzieży. Arct. 1920.

Sam autor przygotował do druku ten wybór, przeznaczając go dla dzieci około lat 12-tu. Usunął drażliwsze epizody, poczynił ułatwienia językowe, ograniczając rolę gwary. Nie nadał wszakże nowemu zbiorowi nowego charakteru.

Mamy w nich to samo studjum natury dzikiej, ujęte wszechstronnie z pasją obserwatora, który oddaje poetyckie na świat spojrzenie halnego gazdy, rozumie szlachetne porwy Zosi Walczakówny, ekstazę religijną Hanka, przedziwnie tkliwą miłość ojcowską Murdrania, serdeczną życzliwość Murzańskiego dla zwierząt. Ale niemniej żywo i niemniej obiektywnie przedstawia Tetmajer zasady i obyczaje zbojeckie, odzwierciedla ich katechizm, będący jakby manifestem prawa mordy, maluje straszliwe przejawy mściwości i obłudną, niemiłosierną wyniosłość wójta-potentata w opowieści: „O ludzkiej biedzie“.

Od wydania sądu moralnego autor się stale uchyla, tworząc zgola autonomiczne prawodawstwo dla sumień pierwotnych. Jego bohaterowie modlą się o pomoc Nieba, gdy idą wyrzucić na wrogu zemstę okrutną, widzą też rękę Opatrzności w szczęśliwie dokonanej zbrodni. Żaden wyrzut nie zakłóca ich radości ze spełnionego dzieła.

Książka niepokojąca, budzi zagadnienia, by zostawić je pod znakiem zapytania. Pojęcie poprostu niepodobna, jak można było te podhalańskie opowieści zalecać dla dzieci! Są w nich bolesne powikłania psychiczne, są sceny, krew ścinające w żyłach.

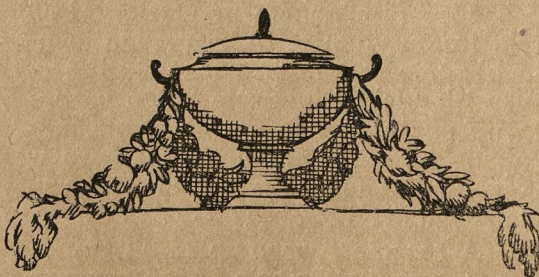
Wystarczy jeden obraz. Gronikowski chowa długie lata w sercu swym żądze zemsty. Wyrzucić ją pragnie na leśniczynie Dobrowolskim. Znajduje wreszcie po 17-tu latach chwilę sposobną. Przesuwa oklepiec, zastawiony na niedźwiedzia tak, żeby się Dobrowolski złapał. Plan się udaje! Wysłuchał Bóg modlitwy gorącej, szeptaanej w oczekiwaniu na ofiarę. Góral rozkoszuje się myślą o bliskim spełnieniu swych marzeń, o mękach swego wroga. Oto jak nam tę scenę maluje autor: „Nie pomogły prośby i zaklęcia leśnego... Groniac leśnemu króciwą, ręce mu związał... i ku olbrzymiemu kopcu wielkich, czarnych mrówek go podwlekl, poczem do drzewa przytroczył, a usta ziemią i błotem zatknął i szmatą przewiązał... Ukłonił mu się kapeluszem i poszedł... O nic się nie bał. Bo i Panu Bogu bardzo ufał. Nietylko, że mu On Dobrowolskiego w oklepiec wprowadził, ale jeszcze i wilki zesłał, które go zjadły tak, że ani szlaku znaku, co się zrobiło. Pan Bóg z nim“.

Widzimy, że Gronikowski jest w zgodzie ze swym sumieniem i z Bogiem, że co, więcej, Bogu wyznacza główny udział w dokonanym mordzie. Czuje się dobrze i lekko, żadnej odrazy do ohydnych czynu, ani cienie współczucia czy litości!

Tak postawiony problem może rozwiązać rozumnie i bez szkody dla siebie tylko człowiek zrównoważony i wyrobiony moralnie.

Krzywdę wyświadczyłby dziecku, który tę książkę w jego ręce złożył. Nawet dla starszej młodzieży książka niebezpieczna, niebezpieczna i dla ludu w dobie powojennej, w czasie rewolucyjnego wrzenia.

Zofja Szmydtowa.



Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Cyrano de Bergerac”—komedia romantyczna w 5 aktach E. Rostanda, przekład Zagórskiego, Konopnickiej i Łuszczewskiego, dekoracje K. Frycza, reż. A. Zelwerowicz.

Ponieważ w poprzednich numerach „Bluszcz” zamieścił o Cyranie de Bergerac obszerniejsze studium pióra Gabryela Karasiego, przeto pozostaje mi tylko, dla uzupełnienia, ocena widowiska z punktu dekoracyjnego i gry aktorskiej.

Imając się tak poważnej imprezy, jak wystawienie Cyrana na scenie Teatru Polskiego, dyrekcja miała dwa wielkie atuty, jako gwarancję, że zamysł nie jest hazardowny. Primo, nazwisko Karola Frycza dawało rękojmię, że pod względem inscenizacyjnym najlepsze dzieło Rostanda nie tylko nie dozna szwanku, ale przeciwnie, otrzyma ramy, jakich nie miało poprzednio ani we Lwowie, ani w warszawskich Rozmaitościach. Secundo zaś: — w zespole artystów Teatru Polskiego znajduje się Jerzy Leszczyński.

Na niego to „patrzyła Europa” w dniu 5-tym kwietnia, a jeśli nie cała Europa, to w każdym razie cała śmietanka inteligencji warszawskiej.

Nie zawiódł oczekiwań Frycz. Wszystkie bez wyjątku dekoracje były dociągnięte w najdrobniejszym szczególe. Trudno by zdecydować, który akt Cyrana bardziej „rwał oczy” przepychem i barwnością obrazu. Były to prawdziwie kunsztowne puzdra, w których klejnoty słów grały tysiącami ogniami. Na tle wzorzystych makat I-go aktu lśniły brylantowe strzały Rostandowskiego dowcipu. Brylanty pierwszej wody. Wśród złota zeschłych liści w akcie ostatnim snuł się czarowny liryzm miłości schodzącej do grobu, drogiecenne perły słów, wydarte z konchy śmiertelnie chorej muszli. Jerzy Leszczyński zawiódł nieco pokładane w nim nadzieje. Nie sądzę, by mu zbrakło szerszego tchu, jakiego wymagał wspinała, lecz niebezpieczna rola. Niebezpieczna, — bo pierwszym jej genialnym wykonawcą był słynny Coquelin.

„Chciałem poświęcić ten poemat duchowi Cyrana, ale ponieważ przeszedł w Ciebie, Coquelin, Tobie go poświęcam” — pisze Rostand w dedykacji. Odtąd każdy aktor, odtworzający tę postać czuje, oprócz zaszczytu, wielką odpowiedzialność własną.

Przyczyna nierówności w grze Leszczyńskiego była bezwątpienia silna trema, która sprawiła, że tyrała „o nosie” w akcie pierwszym przepadła w połowie, zaś przecudna ballada, improwizowana w czasie pojedynku — prawie doszczętnie.

Wielki Coquelin, jak głosi tradycja, w scenie tej ze spokojem, ledwowiedocznymi ruchami parował wszelkie ataki markiza. O ileż silniejsze wrażenie wywoływały wówczas słowa drugiej zwrotki:

Vous auriez bien dû rester neutre;
Ou vais - je vous larder, dindon?...
Dans le flanc, sous votre maheutre?...
Au coeur, sous votre bleu cordon?...

Coprawda to i polski przekład ballady pozostawia nieco do życzenia. „Ostrze mej szpadki” nie brzmi zbyt dźwięcznie, raczej... bardzo niewdzięczny jest to *refrain*...

W połowie drugiego aktu Leszczyński opowiadał treść, toteż ustęp „Oto gaskońskie są junaki Carbon'a de Castel-Jaloux! Bezczelni łgarze, zabijaki...” etc” brzmiał już znacznie lepiej i od tej chwili Jerzy Leszczyński ani na chwilę nie zniżał lotu, wciąż potężnie w grze. W momencie czytania listu do Roksany osiąga swego zenitu. Ta scena jest już arcydziełem aktorskim. Niezapomniany Antoniusz z „Juliusza Cezara”, wspaniały Gwido z „Ucztu Szyderców” zdobywa sobie prawo wstępu na scenę polską pod szlachetnym nazwiskiem Cyrana de Bergerac.

Pani Panciewiczowa (Roksana) była nieco za sztuczna, nawet jak na ówczesną *Precieuse*. Trudno też dociec, z jakich przyczyn zmieniła swój przyrodzony, śliczny *timbre* głosu na znacznie mniej korzystny — o oktawę wyższy?... Wyglądała jednak prześlicznie, zwłaszcza w akcie piątym.

Wystawa „Cyrana” pochłonięła grube miljarde. Sto pięćdziesiąt nowych kostiumów. 60 par butów od Hiszpańskiego, nie mówiąc już o akcesoriach, za których mistrzowskie wykonanie należało się p. Rakowskiemu wyrazić uznania. Akt II-gi, (pasztecziarnia) ukazał oczom widzów tak bogatą kolekcję potraw, podanych z królewską wspaniałością, — że te cuda budziły entuzjazm na sali, a nawet nieco... roztargnienia. Ktoś z moich znajomych długo nie mógł zapomnieć pieczonego prosięcia i galantyny, która trzęsła się apetycznie na srebrnym półmisku...

Niestety, pasztecznik Raguenau nie stanął na wysokości swoich dzieł kulinarnych.

Szkoda, że ponosząc tyle kosztów i trudu, dyrekcja nie zdobyła się na jeden jeszcze — stosunkowo najtańszy — wysiłek: trzeba było odłożyć premierę przynajmniej na tydzień. Jeszcze pięć, sześć prób — i przedstawienie świeciłoby tryumfy na wszystkich polach. Niestety, reżyserja pozostawiała dużo do życzenia. By udźwignąć taki gmach trudności inscenizacyjnych, jakie następcza „Cyrano de Bergerac”, trzeba zmobilizować wszystkie siły. Teatr Polski zmobilizował je w trzech czwartych, dlatego widowisko było — niedociągnięte.

Pomimo tych drobnych „gdzyb”, 5-ty kwietnia należy zapisać złotemi zgłoskami w kronice Teatru Polskiego, jako jeden jeszcze wielki krok na drodze kulturalnego i artystycznego dorobku.

W. Miłaszewska.

KĄCIK LEKARSKI

KILKA UWAG Z ZAKRESU HIGIENY OKA.

Zadaniem higieny jest podanie całokształtu wskazań, jak należy się zachować, by dany narząd i jego funkcje utrzymać w jak najlepszym stanie przez cały czas jego istnienia. Organizm ludzki, to cudowne dzieło boże, jest tak urządzony, że mimo najrozmaitszych przeciwności może istnieć i pracować jako całość i jako każda pojedyncza komórka długie dziesiątki lat, — jednakowoż trzeba na to pewnych, pomyślnych warunków. W braku tychże, ten lub ów organ, zależnie od rodzaju szkodliwych działających, wyczerpie się prędzej niż inne, zacznie niedomagać, chorować, a po pewnym czasie może zupełnie wypowiedzieć swą służbę. Choroba, czy śmierć dotknąć może narząd wzroku, czy słuchu, powalić człowieka z nóg przez porażenie ośrodków nerwowych kręgosłupa, przenieść go w inne światy, albo wykluczyć ze społeczności ludzkiej przez zniszczenie normalnych funkcji jego mózgu.

Dziś zająć się chcę organem wzroku człowieka; jest nim oko wraz z odpowiednimi ośrodkami mózgowymi. Leżąc w jamie kostnej, chroniona z przodu dwoma powiekami, ruchoma dzięki specjalnym mięśniom, przedstawia małą gałkę oczną, ciekawą i wielce skomplikowaną twór. Ściany jej tworzą trzy błony: zewnętrzną — ścięgnistą, środkową — utkana z naczyń krwionośnych i limfatycznych, wewnętrzną — z zakończeń nerwu wzrokowego. Wnętrze wypełniają: soczewka, główny czynnik w załamaniu promieni świetlnych, oraz ciecz, pośrednicząca w przesyłaniu tychże i częściowo je załamujące. — Promienie świetne, po przejściu przez soczewkę i inne media, padają na wewnętrzną stronę oka (siatkówkę); zebrane przez zakończenia nerwu wzrokowego przechodzą po jego pniu do mózgu i tam wywołują odpowiednie wrażenia świetne. Choroby gałki ocznej, nerwu wzrokowego, lub ośrodków wzrokowych w mózgu, spowodować mogą częściową, lub zupełną ślepotę. Co zrobić możemy, by wzrok nasz utrzymać w stanie możliwie najlepszym?

Pytanie to staje przed nami w całej swej wadze dopiero w wieku szkolnym dziecka. Dzieci młodsze wyjątkowo chyba znaleźć się mogą w warunkach szkodliwych dla swego wzroku. Naogół, bawiąc się dużymi przedmiotami, przy świetle przeważnie naturalnym, nie nadwyrężają swych oczu. Inaczej rzecz się ma z dziećmi starszymi: a) Zbyt długa praca oczu na małą odległość, więc czytanie, pisanie, szycie bez przerwy odpowiednich; oczy wypoczywają przy patrzeniu w dal, na otwartą przestrzeń, skąd konieczność przeplatania nauki spacerami, gimnastyką i t. d. b) Długotrwa-

jąca praca przy świetle sztucznym, za słabym zwłaszcza, lub za silnym, nawet przy świetle słonecznym stworzyć może złe warunki dla wzroku przez złe ustawienie stołu lub biurka, zasłanianie okien firankami i t. p. c) Wadliwe siedzenie dziecka przy nauce, pochylanie się na jedną stronę, zbliżanie zbędnie książki do oczu; książkę powinno się trzymać w odległości 25 cm.; przy zajęciach mniej precyzyjnych odległość między okiem a przedmiotem powinna być większa.

Stosunkowo częste bóle głowy u młodzieży szkolnej powinny zwrócić uwagę opiekunów na możliwość ich pochodzenia z oka. Często przyczyną tychże są wady bądź bystrości wzroku, bądź wady zależne od wadliwej budowy oka, jak krótkowzroczność i nadwzroczność (dalekowidztwo), dalej nieźborność polegająca, na różnicy w budowie oczu, oraz zaburzenia w akkomodacji, czyli przystosowaniu się soczewki do różnych odległości. Specjalista usunie przez odpowiednie szkła bóle głowy, spowodowane nadmiernym wysiłkiem wadliwie zbudowanego oka, oraz w niektórych wypadkach powstrzyma potęgowanie się samej choroby.

Praca na wolnym powietrzu daje naogół warunki dobre dla wzroku, jedynie pewne sporty wymagają zastosowania ostrożności w postaci szkielek ochronnych, (zimną wycieczką w góry przy silnych opadach śnieżnych i ostrym blasku słońca, szybka jazda automobilem.)

We wszystkich wypadkach, gdy zachodzi potrzeba dobrania szkielek, powinno się bezwzględnie zwracać do okulisty, nie wprost do optyka, jak do niedawna czyniło wiele osób, szkodząc sobie niejednokrotnie. — A teraz chcę wyjaśnić kwestję, czy każdy starszy człowiek powinien używać szkielek i kiedy ma je zacząć nosić. Otóż bezwzględnie każdy, o ile nie jest analfabetą; około 45 r. życia wchodzimy wszyscy w okres t. zw. „nadwzroczności starczej”, kiedy to niemożliwym się staje czytanie drobnego druku, bez coraz dalszego odsuwania gazety czy książki, wreszcie ręka staje się zakrótka. Przyczyną tego jest utrata sprężystości soczewki, jej niezdolność wypuklania się dostatecznego. W tym to czasie należy zacząć nosić szkła. Noszenie przedwczesne, rzekomo celem zaszanowania oczu jest daremne, zwleknięcie nie prowadzi do celu, powodując niepotrzebne męczenie oczu i denerwowanie się.

Do higieny wzroku, podobnie zresztą jak do higieny innych narządów, należy też czuwać na tem, by nie przeoczyć początków choroby, najbrzmienienniejsze w skutkach bywa jednak niezauważenie początków t. zw. jaskry, oraz jąglicy, czyli zapalenia egipskiego.

Jaskra jest chorobą wieku starczego, występuje często u dalekowidzów, a prowadzi wraz z zaniedbaniami, do utraty wzroku, bez możliwości odzyskania go na drodze leczenia, czy to zachowawczego, czy operacyjnego. Objawy są dość charakterystyczne: nudności, bóle głowy, połączone z zaburzeniami w widzeniu; człowiek widzi przedmioty, jak przez mgłę i w kręgach różnobarwnych, jak gdyby widział światło latarni w mglisty, deszczowy wieczór. Atak trwa godzinę, dwie, jeden powinien wystarczyć, by zwrócić uwagę i skierować natychmiast do okulisty. Dla lekarza diagnoza jest najłatwiejsza, gdy widzi oko w czasie ataku.

Zapalenie egipskie występuje początkowo pod formą zwykłego kataru oczu, stąd często zlekceważone przez mniej dbałych, przybiera później formy bardzo niebezpieczne, co gorsza cierpi na tem nie tylko dany osobnik, ale częstokroć całe jego otoczenie, które z braku ostrożności ulega zakażeniu. Jeszcze około r. 1914 były we wschodniej Małopolsce całe wsie zarażone jąglicą. Na klinikę lwowską przyjeżdżali wtedy często pacjenci, dla których już ratunku nie było, bo miejsce oka zastępowała jedna blizna i prosili by zdjąć „bilmo”, sądząc że to katarakta.

Bardzo złe warunki odżywiania mogą spowodować niekiedy poważne zaburzenia w widzeniu t. zw. kurzą ślepotę, polegającą na tem, że z nastaniem zmroku człowiek ślepnie, by odzyskać wzrok znów następnego rana. Na jakiej drodze złe odżywianie tego rodzaju zmiany spowodować — nie jest dotąd wyjaśnione.

Dr. E. P. . . . a.

SUKNIE LETNIE.

Ostatnia nasza pogawędka nie była jeszcze, co się zowie, w słońcu skąpanym obrazem. Przewijał się przez nią nieśmiały promyk, ciepły w południe, częstokroć chmurą przysłonięty, lub, zgłoszony wiatru zimnym podmuchem i dlatego mówiliśmy o welnie, flaneli, trykocie — o kostjumie. Gdy jednak późna Wielkanoc trawniki fiołkami ustroi, żonkile na święteczny stół rzuci, modre oczka barwinku radośnie do słońca otworzy, kiedy rozpachną się na grzędach hiacynty, a wierzby otulą się złocistym welonem rozkwitłych baziek i my w tym blasku radości i woni o barwnej letniej zamierzmy szatcel jakż różny będzie ten święteczny ranek! Radością i weselem bogaty, wspomnieniem tkliwy, lub łzami wezbrany, skąpany w szczęściu uczuć odwzajemnionych, lub samotnością najsmutniejszy! A jednak wszystkie, i te uśmiechem spłonięte, i te w czulej zadumie, i te, u rzęs których łza, jak perła zawisnie, wszystkie i pomimo wszystko, chętnie, w swobodne dni święteczne o letnich pogawiedzimy szatkach. A chociaż barwna szmatka, to tylko cząstka życia, drobna jak ziarnko piasku, jednak zdolna uśmiechem tchnąć i łąć z niejednych ocz wycisnąć. Stali towarzysze doczesnej wędrówki, ły i uśmiech! Kornie przed wami chyliły czoła.

Zanim oczy nasze utoną zachwyczone we wszystkim, co nam moda dziś niesie, postawmy sobie wytyczną, której imię — barwa i linja. Umiejętnie dobrana i wybrana barwa i dostosowana do kształtów linja, oto udanej sukni tajemnica. A że bez żywych kolorów ubrać się w nadchodzącym sezonie nie można, przeto umiaru i jeszcze raz umiaru, aby nie popaść w rażącą przesadę. Która z nas w tej grze kolorów boi się zatracić orientację, najliepiej, niech da pierwszeństwo bieli, ta zawsze jest wykwinna i niczem zakasować się nie da. Suknia letnia, najskromniejsza z białego płótna, lub eponge'u, bez żadnych odmiennych dodatków, lub z barwnym lakierowanym paskiem, tak bardzo dziś modnym i odpowiednim krawatem, lub kokardą, jest w lecie wystarczającym na cały dzień i zawsze ładnym ubraniem, dla osób, które prowadzą życie pracy i czynu i które nie wstają co dnia, pod znakiem kilkakrotnej zmiany toalet. Jeżeli chodzi o „wielki dzwon” — sukienka woalowa, staniczek przedłużony, dół z dwóch, trzech szerokich, lub kilku węższych falban, albo staniczek biały, spódniczka obszyta z materiału białego w formie pasa, takież wykończenie przy krótkich rękawkach, — skromna, a śliczna i niedroga sukienka.

Kostjum z surowego jedwabiu, cały zakieci, lub tylko wyłogi i wykończenie rękawów haftowane kolorami. Najładniej do kostjumu takiego nadaje się cała suknia odpowiednim kolorem do barwy haftu wykończona, lub też bluzeczka przedłużona, wierzchnia, gładziutka w barwny deseń, na tle harmonizującym z całością. Suknie fularowe, lub jedwabne, z tak wszechwładnie modnych i bogatych w wyborze, wielobarwnych, mazanych materji, nie znoszą dodatków. Cały urok ich to subtelna, miękka linja i odpowiednio dół cery i włosów dobrany koloryt. Najwyżej dyskretna w tonie kokarda, lekko rzucona, jako dopełnienie ogólnego zarysu.

Najpiękniejsza i najwykwintniejsza toaleta, wymaga odpowiedniego dostosowania do czasu i miejsca. Wszelkie suknie bardzo strojne i odkrywające silnie biust i ręce na ulicy są zawsze rażące, a osoby o poczuć estetyki i przyzwoitości, bez lekkiego okrycia w toalecie takiej nie wyjdą. Komu nie brak wyrobienia towarzyskiego i smaku, ten wie, że raczej zbyt skromne ubranie zasłuży sobie zawsze na poklask; wszystko co wybitnie zwraca na siebie uwagę, tak w zachowaniu jak ubraniu jest w zdecydowanie złym tonie.

Możnaby też wiele powiedzieć o sposobie ubierania się pod lekkie, przejrzyste suknie letnie. Trzeba bezwzględnie unikać spodów zbyt ażurowych; tam, gdzie przez spódniczki przegładają nogi do kolan, nie może być mowy o estetyce, ani elegancji. Również i rozcięte z boku spódniczki winny mieć szeroki podkład, aby noga nie odsłaniała się przy chodzeniu; zbyt wysoko: jest to w wybitnie złym guście.

Letnia suknia wymaga odpowiedniego obuwia; kto musi się liczyć, a takich dzisiaj najwięcej, niech kupi białe pantofelki. Najładniej wyglądają płóciennne, dyskretnie wykończone żółtą skórą — stosowne tak do kostjumu, jak i sukni. Pantofelek taki musi być w dobrym gatunku, wtedy przetrwa łatwo, przy starannem noszeniu dwa sezony i nie wyjdzie z fasonu. Pończoszka obowiązkowo cienka i tylko biała. Pantofle zamszowe dobrane barwą do sukni podnoszą strój, jak również i odpowiedni woreczek: do sukien letnich fantazyjny, skórkowy barwny, lub jedwabny haftowany, wyszywany paciorkami o kształcie lekkim i formie eleganckiej, nigdy czarny, płaski duży, który, szczególnie lakierowany, wybitny kolorową skórą, do ciemnego kostjumu, lub płaszcza, wreszcie do drogi jest najodpowiedniejszy. Musimy jeszcze poświęcić słów parę parasolce. Żywa w kolorycie, lekka, jedwabna wykończona ślicznie toaletę, podnosi ją, a odpowiednio do sukni dostosowana i otwarta w słońcu spowija całość, barwną poświatą i ton odpowiedni wydobywa.

A teraz na zakończenie miłym towarzyszkom wlotów w krainę tęczy barw i zawrotnych woni, garść życzeń bardzo serdecznych. Niech te oczekiwane tak radośnie Święta dadzą każdej jasną chwilę i uśmiechem w pamięci zostaną.

W.

Wskazówki praktyczne

STÓŁ WIELKANOCNY

Jak Polska długa i szeroka, ba! po za jej granicami, gdzie jest tylko dom polski, wszędzie istnieje obyczaj usawiania stołu ze „Święconem” na Wielkanoc; ustawianie i ozdabianie, bardzo rozmaicie, według gustu i możliwości, ale zawsze jaknajstaranniej. Na upiększenie stołu wielkanocnego składają się przede wszystkim kwiaty i zieleń, od wspaniałych kamelji i azalii, skromniejszych cyklamenów, bżów i cynerarii, do najskromniejszych hjacyntów i prymulek.

Tam, gdzie o roślinę kwitnącą trudno, a spóźniona wiosna nie pozwala ozdobić stołu pierwiosnkami, kaczęciami, fijołkami i przyłasczkami, gustownie ułożone gałęzie jodły, sosny, pinji lub tui, doskonale je zastąpić mogą. Ślicznie stół zdobią różne figury i wazoniki porośnięte rzeżuchą, w tym celu owija się je kądziela i na parę tygodni przed wielkanocą, na tę kądziel wysiewa ziarnka rzeżuchy; w cieple trzymane, (kilka dni ostatnich na słońcu, aby ładnie się zazieleniły), pokrywają się one gęstą, drobną zielenią rzeżuchy, mającej jeszcze tę zaletę, że jest jadalną: z jajami twardymi i szynką wybornie smakuje. Wysoka taka piramida z rzeżuchy, w kształcie altany zbudowana, mieszcząca w sobie wspaniałą główkę z dzika lub wieprza, stanowiła dawniej na kresach niezbedną ozdobę święconego, bardzo ładnym byłaby koszyczek z rzeżuchy do baranka, jaja olbrzymie, zielone, kolorowymi wstążkami przewiazane i t. p. ozdoby. We wszystkie baby, mazurki i mięsiwa zatykają gospodynie w kraju całym gałązki barwinku, bukszpanu lub zwykłych borówek, a spadający ku ziemi obrus zdobią festonami z „widłaków” (lud pod Warszawą roślinę tę zowie „kołtunami”) — na stołach ludzi o bardziej wyrobionym guście, do tych dwóch powszechnie używanych ozdób, dodaje się bodaj parę doniczek kwiatów, chociażby laków, prymulek i hjacyntu, u innych, mniej w sprawach estetyki wybrednych, bukiety kwiatów sztucznych, bzy i różę papierowe zatknięte w każdą babę, wszędzie jednak panuje chęć ozdobienia tego świętecznego stołu. Poza roślinami zdobi się jeszcze same ciasta i mięsiwa. Mazurki, placki i baby pokrywa białym, lub kolorowym lukrem, posypuje kolorowym maczkiem ozdabia cukrowymi kwiatami. ten tradycyjny lukier z białek, maczek i kwiatki z cukru wprawdzie, lecz z dużą domieszką krochmalu, kuchnia nowoczesna zastępuje rozmaitemi wybornymi polewami, z których ponczowa, czekoladowa i ciagutkowa są chyba wszystkim gospodyniom znane, do ozdoby zaś służą owoce smażone, cykaty, czekoladki, orzechy, migdały i temu podobne smacznej-

sze i bardziej od owych pstrych kwiatków estetyczne ozdoby. Z mięsiw główną i szynkę zdobi się deseniami z kolorowego szmalcu, oprócz tego szynka dostaje wspaniałego papilotu z fryzowanego, białego papieru, co pozwala, krającemu ją, trzymać ręką kość, nie walając tej ręki; zamiast wylewania deseni na skórę, można ją ładnie odwinąć, przypiąć około kości paru zwykłymi, drewnianymi, lub ozdobnymi, srebrnymi szpikulcami, a słoninę, dla ozdoby naszpikować w równych odstępach gwoździkami. Główkę gotując, wkłada się jej pomiędzy żęby gruby patyk, co daje możność wsunięcia na to miejsce czerwonego jajka, także samo jajko wkłada się w żęby pieczonemu prosiakowi. Pieczeń cielęcą i indyka (który się piecze koniecznie z nogami), ma kość i nogi w ładnych, fryzowanych papilotach, posypuje się na dopieczeniu bułeczką, aby były ładnie rumiane, otaczając na półmiskach wieńcem z barwnika lub widłaków. Cietrzew, głąszec, lub bażant, czy to w całku pieczone, czy też w postaci „chaud — froid”, należy podać na podstawie z chleba, usmażonej w tłuszczu, do której przymocować na drutach łeb, skrzydła i ogon ptaka, aby możliwie przypominał kształtem tegoż ptaka żywego. Niezbędnym też jest symboliczny baranek, zwykle cukrowy lub czekoladowy, na piramidzie lub w koszyczku z zieleni, otoczony wieńcem kraszanek lub pisanek. Na wsi jednak, we dworach, dawniej robiono ślicznego baranka z masła, wykonanie którego w dzieciństwie tyle mi zawsze sprawiało przyjemności, że muszę o niem tu opowiedzieć, — może jaka młodociana czytelniczka „Bluszczu” zechce takiego baranka wykonać, — nie trzeba mieć do tego talentu do rzeźbiarstwa! Otóż naprzód robi się z wosku ładne nogi baranie i złoci je złotem do złocenia orzechów na choinki, potem formuje zręcznie oselkę masła, kawałek grubego tiulu lub merli czysto wymyty trzyma jedna osoba sztywno napięty w obu rękach, druga kawałkiem masła mocno po nim naciera, — z odwrotnej strony formuje się z tego masła warstwa doskonale imitująca runo wełny, — ostrożnie bardzo owija się tym runem oselkę i ma się w taki sposób ciało baranka, pozostaje dorozić główkę, przymocować doń nogi, z dwóch dużych ziarn pieprzu zrobić oczy a dwa mniejsze ułokować na końcu nosa, co ma oznaczać nozdrza, — i baranek gotów, — oczywiście może być mniej lub więcej udany, co już zależy od gustu i zręczności jego autorki. Najważniejszą bodaj, bo najbardziej z tradycją związaną i nie tylko w Polsce, lecz prawie u wszystkich narodów słowiańskich i germańskich używaną, częścią święconego — jak jaja kolorowe, na twardo gotowane, są kraszanki i pisanki. Obecnie w każdym sklepie aptekarskim i mydlarskim jest do wyboru masa farb i lakierów do farbowania tych jaj, mało więc kto zechce sobie łamać głowę nad przyrządzaniem farb domowych, — dawniej jednak f rbowano duże ilości jaj, gotując je z łupinami cebuli, co dawało zależnie od gatunku cebuli, ilości łupin, a co zatem idzie mocy nawaru, całą gamę kolorów: od błado żółtego, do najciemniejszego brązu, przyczem niektóre gatunki dawały kolor prawie purpurowy. Młode listki brzozy dawały śliczny kolor majowo-zielony, ziarna kawy niepalone, zalane na dwie doby białkiem z jaj dawały śliczny barwnik malachitowy, jaja przy tem wyglądały jak marmurowe. Dzisiaj przy gotowych farbach fantazja w malowaniu jaj może iść w innym kierunku, robi się na nich desenie woskiem, (co przypomina technikę modnych batików), poczem farbuje jak zwykle, miejsca pokryte woskiem pozostają białe; lub też ufarbowane jaja na kolory żółtawe i cieliste, gorące jeszcze, można akwarelą umalować w rozmaite twarde ludzkie, co ogromnie zabawnie wygląda, — domysłowość w tym kierunku jest zupełnie nieograniczona. Jaja, aby były rzeczywiście twarde i po rozbiciu nie robiły niemiłych niespodzianek w postaci piany na obrusie i ubraniu, co się zdarza z bardzo nawet długo gotowanymi jajami, należy nastawić w bardzo zimnej wodzie i gotować na wolnym, a nie na gwałtownym ogniu, aby żółtko wraz z białkiem się ściśli, przy gotowaniu jaj we wrzątku, białko się gwałtownie ścina a żółtko bardzo długo pozostaje surowe.

Pani Elżbieta

KACZKI NA ŚWIĘCONE.

Dużą kaczkę, opaloną i oparzoną, rozciąć przez grzbiet i ostrym nożykiem wyjąć kości, zostawiając mięso, piersi, skrzydła i nóżki nienaruszone. Wątróbkę i tłuszcz wewnętrzny kaczki uduścić z funtem wątróbki cięłej, pół funtem boczku wieprzowego, paru cebulami, pieprzem i białkiem, bułeczki dwie wymoczyć w mleku, przepuścić wszystko to dwa razy przez maszynkę, rozbić duże jajko lub dwa mniejsze, dodać soli do smaku, gałki muszkatolowej, skórki z jednej cytryny startej na tarce, nadziać kaczkę, zaszyć, upiec jak zwykle; podając kraje się w plastry jak galantynę lub roladę. Do tego sos majonezowy lub „cumberland“.

TORT Z KASZTANÓW,

2 f. kasztanów (ważyć obrane) utrzeć w maszynce, z 1 f. cukru, $\frac{1}{2}$ szkl. romu i wanilji zrobić gęsty syrop, wysypać kasztany i ucierać do gęstości.

Wylać na oplatek tę masę i polać grubo lukrem czekoladowym.

KEKS ANGIELSKI

8 całych jaj i 2 żółtka utrzeć z 1 f. pudru b. dobrze, dodać do tego 1 f. masła uwierconego na śmietanę, 1 f. najlepszej mąki, $\frac{1}{2}$ f. korynłek, $\frac{1}{4}$ f. rodzenek, skórki pomar. i wanilji. Piec godzinę.

B—a.

MAZUREK MAKARONIKOWY.

Funt migdałów słodkich i kilkanaście gorzkich oparzyć, obrać z łupin i dobrze osuszyć, poczem utłuc lub zemieć drobno, zmieszać z funtem cukru (koniecznie „pudru“) jaknajdokładniej. Dziesięć białek ubić na sztywną pianę, mieszać bardzo ostrożnie z migdałami i cukrem, połowę nasmarować grubo na oplatek (druga połowa masy stać powinna na lodzie, kto nie ma lodu, powinien migdały mieszać z białkami oddzielnie, na każdą połowę), — zrumienić w piecu. Z drugiej połowy masy ułożyć zgrabnie grubą kratę i ponownie zrumienić w piecu. Pomiedzy kraty nalać pomadki następujące: szklankę cukru gotować z pół szklanką wody, aż się zacznie ciągnąć w nitkę, — wylać na miskę, wcisnąć sok z pół cytryny i ucierać drewnianą łyżką, aż gęstnieć zacznie. Gdy mazurek i pomadka ostygną, natrzeć go suchymi konfiturami.

Pani Elżbieta.

WIOSENNE PRACE W PASIECE

Tegoroczna zima nie chce się skończyć i przypomina mi opis sejmku, który niegdyś zwołano w Siedmiogrodzie z powodu długotrwałej suszy, która i najcierpliwszych wyprawa z równowagi. Radzono i radzono na tym sejmie, ale wszystkie wnioski uznano za niepraktyczne, niewykonalne. Aż nareszcie jeden z posłów podał dobrą radę: czekać, aż spadnie deszcz. Oczywiście radę jego przyjęto jednogłośnie.

Tak też i nam nie pozostaje nic innego jak uzbroić się w cierpliwość i czekać.

Kogo moje uwagi o zimowaniu pszczół („Bluszcz“ Nr 41 z 15 października r. z.) zachęciły do zadołowania uli na zime, ten może spokojnie czekać wiosny, chociażby jeszcze

jeden miesiąc, kto zaś zimuje pszczoły na dworze. niech będzie przygotowany na straty.

Po tej długotrwałej zimie możemy się spodziewać szybkiego rozwoju wiosny. Skoro więc doczekamy się tej upragnionej wiosny, musimy wyteńczyć siły i uwagę, żeby nie narazić się na dalsze straty, którym przezorny pszczelarz może zapobiedz. Gdy więc pszczoły zaczęły się oblatywać (przy temperaturze co najmniej 8° R), należy porozszerzać oczka i uważać na ruchy pszczół, gdyż już po oblocie można sądzić o dobrym lub złym stanie pnia.

Pnie zdrowe ściągają się po oblocie spokojnie do ula, podczas gdy pnie chore oka-

zuja niepokój i roją się długo koło oczka, a pnie, z których pszczoły wcale, albo prawie wcale nie wylatują, zasnęły lub zasypiają — z głodu. Z rewizją tamtych można poczekać, ale jeżeli się trafi pień dogorywający z głodu, należy go zaraz wnieść do ciepłego pokoju, plastry wyjąć, siedzące na nich pszczoły skropić trochę miodem rzadkim i ciepłym, plastry napowrót założyć i pień ten zostawić jeszcze przez dobę w ciepłym miejscu.

Nieraz się zdarza, że pszczoły, które już nie okazywały znaku życia, przyjdą do siebie zupełnie. Takim pniem trzeba się szczególnie zaopiekować, puścić go do oblotu i podkarmić.

Po pierwszym oblocie należy oczka znów powiększać, a skoro tylko nastąpi dzień cieplejszy, pnie popodmianać i przepatrzyć, baczając jednak, żeby gniazda niepotrzebnie nie oziębiać.

Ponieważ zima była długa i ciężka, trzeba się przekonać, czy mają jeszcze dostateczny zapas t. j. po 3—4 kilogramów miodu i ewentualny brak uzupełnić cukrem rozpuszczonym w stosunku 2 kg. cukru na 1 litr wody, który to syrop podaje się ciepły i najlepiej od razu w potrzebnej ilości, rozumie się w taki sposób, żeby się pszczoły nie topiły, a więc np. w czworokątnym naczyniu blaszanym z trawką opuszczającą się w miarę wybierania płynu przez pszczoły. Naczynie to wstawia się do ula, tak żeby pszczoły mogły wybierać syrop.

Pień, który okazywał niepokój przy oblocie, jest podejrzany o zmatczenie t. j. o postradanie matki. Należy go zrewidować. Jeżeli znajdziemy czerw roboczy w porządku, to znaczy, że pień ma matkę zdrową, a niepokój nie się pszczoł po pierwszym oblocie pochodziło z innej przyczyny: zaplesnienia plastrów, wilgoci i t. p., jeżeli zaś znajdziemy czerw trutowy lub t. zw. garbaty, to pień ma niezawodnie matkę ułomną trutową, albo pszczołę trutowką. W takim pniu trzeba matkę wyszukać i zniszczyć, pszczoły zaś innemu pniowi podsypać, a ul usunąć, a gdybyśmy matki nie znaleźli, pszczoły wraz z pszczołą trutowką, której wyszukać niepodobna, dodać innemu, dobremu. O leczeniu bezmatków o tej porze niema mowy, co innego latem; — wczesną wiosną nic innego nie pozostaje, jak tylko je w powyższy sposób skasować. Są to dość rzadkie wypadki, ale mogą się zdarzyć, zwłaszcza w pasiece niedoświadczonej. Jeżeli więc znaleźlibyśmy kiedy czerw trutowy, albo garbaty, to trzeba go się pozbyć, ścinając mu ostrym nożem główki i wstawiając taki plaster silniejszemu pniowi. Pszczoły taki czerw wysysają i komórki oczyszczają. Szczątki czerw w spadające na dno ula trzeba starannie wymieść.

Przy oblatywaniu się pszczoł nie powinno być nigdzie w pobliżu rozwieszonych bielizny, gdyż zbrukają ją kałem, a plamy takie trudno wywabić.

Przekonawszy się, że wszystkie pnie mają matki w porządku i dostateczny zapas miodu, trzeba dbać o to, żeby pszczoły miały jaknajcieplej, a więc zbyteczne plastry pousuwać, gniazda pościć, ewentualne szpary pozatykać i wreszcie zbytecznym przeglądaniem pszczoł nie niepokoić. Wczesną wiosną, kiedy jeszcze w polu pożytku dla pszczoł niema, trzeba baczyć, by się nie wszczął rabunek, o który wcale nietrudno, zwłaszcza w tym roku, kiedy zapewne będzie wiele pni słabych.

LETNISKO KOŁA POLEK

W WILNIE

Duży pokój 2 złp. dziennie, mniejszy 1 $\frac{1}{2}$ złp.

Całodzienne utrzymanie na miejscu. Koszta — stosownie do wymagań.

Listy: Wilno, Ostrobramska 5. Koło Polek.



BARWNIKI DO DOMOWEGO FARBOWANIA.
ATRAMENTY

„KOŁORYT”

ULTRAMARYNA. PASTA DO OBUWIA

Przeciwno ka-
tarowi nosa „SALVIN”
Apteki F. WIĘCKOWSKIEGO
MARSZAŁKOWSKA 110

Żądać we wszystkich aptekach
i składach aptecznych

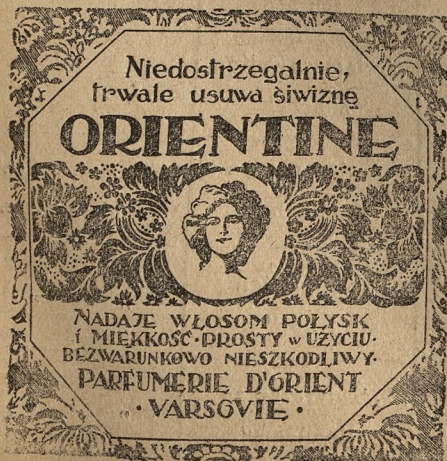
129

NEO-FOSFATYNA WENDY

zdobyła sobie uznanie jako
najlepsza mączka odżywcza
dla dzieci, starców i rekon-
walescentów.

Skład Apteka WENDY
Krak. Przedm. 45. w Warszawie

ŻAŁAĆ WSZĘDZIE



bych, które łatwo mogą paść ofiarą rabunku. Najłatwiej temu zapobiedz, wstawiając w oczko rabowanego pnia cewkę i zalepiając pozostałą część oczka gliną tak, żeby pszczoły mogły tylko tą cewką wychodzić i wchodzić.

Ażby nie dawać powodu do rabowania, należy zaraz po pierwszym oblocie, oczka powiększać, a rozszerzać je dopiero w miarę rozwoju siły pnia. W pasiece ustawić naczynie z wodą, nakrytą tatewką, lub przedziurawioną deseczką, aby pszczoły nie potrzebowały szukać wody daleko.

Korzystnie jest karmić pszczoły od samego początku mąką. W tym celu ustawia się w pasiece skrzynie, lub ul próżny, w którym się umieszcza plastry trutowe napełnione mąką pszenną. Trzeba naturalnie dbać, żeby mąka nie zamokła od deszczu i na noc uprzątać. Pszczoły chętnie mąkę zabierają dopóty, dopóki nie znajdą dostatecznej ilości pyłu kwiatowego.

Skoro się już dobrze ociepli, trzeba pnie dokładnie przegladnąć, popodmiałac i rezultat rewizji powtarzających się już od tygodnia, zapisywać do przeznaczonych na to kajeciku. Przegląd taki najlepiej uskutecznić pod wieczór, by uniknąć rabunku.

Ażby mieć na czas głównego pożytku duży zastęp pszczoł, trzeba, żeby matka na 5 tygodni przed nastaniem tego pożytku zaczęła silnie czerwić. W tym celu stosujemy podsyćanie, t. j. podkarmianie spekulacyjne, podając pszczołom sytę t. j. rzadki syrop (w stosunku 1 kg. cukru na 2 litry wody) w ilości mniej więcej 1/8 litra na każdy pień codziennie. Używamy na to małych korytek blaszanych z tatewkami, żeby się pszczoły nie topiły. Korytka te z sytą jeszcze ciepłą wstawia się do ula wieczorem. Zwykle przez noc pszczoły sytę wybiorą. Takie spekulacyjne podkarmianie rozpoczynamy jednak dopiero, gdy agrest zakwitnie, nie wcześniej.

To systematyczne co dzień podkarmianie imituje poniekąd pożytek i pobudza matkę do silnego czerwienia. Trzeba jednak, żeby pszczoły miały dostateczny zapas miodu w plastrach, który ewentualnie w braku pozostałego z zimy miodu uzupełniliśmy gęstym syropem z cukru, jak to już wyżej powiedziałem. Inaczej to podsyćanie chybiłoby celu. Jak długo prowadzić to podsyćanie pni? Im dłużej, tem lepiej, aż do nastania głównego pożytku. W Małopolsce wschodniej, gdzie pszczelnictwo

wyżej stoi niż u nas w Kongresówce, mawia lud: „Hoduć pszczoły do Iwana, ony zrobiut z tebe pana“.

W miarę wzmaganie się siły w ulu, trzeba gniazdo powiększać t. j. skoro pszczoły gęsto pokryją przodkowe plastry, dodawać po ramce z plastrami, a w braku gotowych plasterów, ze sztuczną węzą, w najgorszym razie z początkami. Trutową robotę wycinać, a miejsca wykrojone łątać pszczelnią. Dobrze jest jednak zostawić w każdym ulu gdzieś z brzegu plastra odrobinę roboty trutowej, wtenczas pszczoły nie będą się silić na pędzenie rozczyny trutowej. Z takich wycinków trutowej roboty można składać całe ramki, które się przydadzą na czas głównego pożytku.

W końcu pozwolę sobie, chociaż to do tematu nie należy, na podanie wypróbowanego przepisu na doskonały piernik: 5 całych jaj i 1/2 funta cukru faryny ubić razem, wlać w to kwaterek zagotowanego miodu, ciągle mieszając, wsypać korzeni, jakie kto lubi, przede wszystkim pieprzu, dalej cynamonu, goździków, skórki pomarańczowej lub cytrynowej, garść migdałów drobno pokrajanych, kwartę maki pszennej przesianej, doskonale wszystko wyrobić i nakonec dobrze wymieszać z łyżeczką sody rozpuszczonej w 2 łyżkach wody. To ciasto włożyć w formę, lub rondel wysmarowany woskiem, wsadzić do miernie gorącego pieca, najlepiej przy pieczeniu chleba, gdy się chleb przesadza. W 1/2 godziny do 3 kwadransów piernik gotów. Można go polukrować lukrem zwykłym lub czekoladowym i ubrać cykatą, suchymi konfiturami i t. p.

Bronówek, 21/III 1924.

Franciszek Ender

SOLIDNIE! TANIO! 99

NA SEZON WIOSENNY

Etole, lisy, pelerynki, kołnierze

POLECA

SKŁAD FUTER

R. STASZEWSKI I R. MASŁOWSKI

Warszawa, KRUCZA 26

TELEFON 223-70

Przeróbki, farbowanie sposobem
lipskim.

Opis sukien i robót do Nr. 16.

1. Fartuszek dla dziewczynki od lat 3 do 8 z białego batystu w czerwone grochy, wykończony białą batystową falbanką.
2. Strojna suknia z morelowego crépe de chine'u, ubrana srebrną koronką.
3. Fartuszek dla dziewczynki od lat 2 do 4 z białego płótna, ozdobiony haftowanymi dziurkami.
4. Suknia z fularu deseniowego, przybrana fularem w jednym kolorze.
5. Suknia dla dziewczynki od lat 2 do 5 z odpasowanego haftu.
6. Suknia z białego eponge'u wykończona eponge'm w czarny deseń, przybrana czarną aksamitką.
7. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12, z kolorowej markizety. Falbanki wykończone przeciętą mereżką maszynową.
8. Kostjum angielski z brązowej gabardiny z odciętymi falbanami kłozowymi.
9. Kostjum angielski z granatowego bostonu. Kamizelka fox-trot.
10. Kostjum angielski z czarnej wełny wykończony czarną taśmą. Pasek lakierowany.
11. Najmodniejsze rączki do parasolek.
12. Suknia z woalu szafirowego. Kwiatki ułożone z materiału.
13. Suknia z satyny deseniowej, wykończona aksamitką.
14. Suknia z markizety pomarańczowej. Spięcia na bokach i ramionach uplecione z wstążeczek w tym samym kolorze.
15. Suknia z markizety różowej, przybrana ręczną mereżką. Pasek upleciony ze sznureczka obszytego markizetą.
16. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 12. Spódniczka i kołnierz z granatowej satyny, bluzka ponsowa.
17. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 9 z bawełnianego woalu, przybrana satyną deseniową.
18. Suknia z białej markizety. Falbanki obszyte wąską koroneczką. Aksamitka wiśniowa.
19. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 13 z szarego płótna, przybrana galonikiem deseniowym.

REPERTUAR TEATRÓW WARSZAWSKICH

	TEATR WIELKI	ROZMAITOŚCI	LETNI	POLSKI	MAŁY	KOMEDJA
Poniedz. 21IV	„Jaś i Małgosia“ pp. i „Wieszczka Lalek“ pp. „Noc Letnia“ wiecz.	„Zbuntowana“ pp. „Żywy Buddha“ wiecz.	„Dzwonek Alarmowy“ pp. „On, Ona i Mama“ wiecz.	„Cyrano de Bergerac“ wiecz. „Żywy trup“ pp.	„Świerszcz za Kominem“ wiecz. „Świt, dzień i noc“ pp.	„Proces Rozwodowy“ wiecz.
Wtorek 22IV	„Aida“ wyst. Beliny-Skupiewskiego	„Grube Ryby“	„On, Ona i Mama“	„Cyrano de Bergerac“	„Świerszcz za Kominem“ wiecz. „Świt, dzień i noc“ pp.	„ „ „
Środa 23IV	„Tanhauser“	„Żywy Buddha“	„ „ „	„ „ „	„Świerszcz za Kominem“	„ „ „
Czwartek 24IV	„Carmen“ wyst. Beliny-Skupiewskiego	„Żywy Buddha“	„ „ „	„ „ „	„Świerszcz za Kominem“	„Tajemniczy Pan“ premjera wiecz.
Piątek 25IV	„Faust“	„Zbuntowana“	„ „ „	„ „ „	„Świt, dzień i noc“	„ „ „
Sobota 26IV	„Cyrylik Sewilski“ wyst. Ady Sari	„Żywy Buddha“	„Dzwonek Alarmowy“ pp. „On, Ona i Mama“ wiecz.	„Cyrano de Bergerac“ wiecz. „Żywy trup“ pp.	„Świerszcz za Kominem“	„ „ „

20. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z batystu białego, rozszywana i przybrana haftowaną wstawką.

21. Strojna sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z koralowego fularu, przybrana rozetkami wymarszczonymi z czarnej wstążeczki.

22. Sukienka dla dziewczynki od lat 2 do 5 z białego płótna, ozdobiona ręcznym haftem.

23. Sukienka dla dziecka od lat 2 do 4 z satyny niebieskiej, wyszyta białym.

24. Fartuch z satyny deseniowej, wykończony plisną w jednym kolorze.

25. Fartuch biały z szelkami. Obręb merezkowy.

26. Fartuch z muslinu w groszki, wykończony falbanką.

27. Fartuch z szarego płótna haftowany kolorami fraise do cieniu i oliwkowym.

28. Fartuch z płócienka w kratkę.

29. Fartuch z satyny deseniowej.

30. Fartuch z szarej dymki objęty pon-sowym, wyszyty ponsową bawełną.

31. Fartuch do sprzątania z surówki, zapinany z tyłu.

32. Motyw do haftu kolorowego.

33. Deseń na serwetkę. Na białym samodzielnym płótnie haft sztucznym jedwabiem białym i czarnym oraz złotem.

34. Motyw do haftu kolorowego.

35. Wzór na poduszkę, haft kolorowy. Liście popielate, kwiaty od ciemno miedzianych do złotych, w górę coraz jaśniejsze.

36. Wzór na makatę na szarem płótnie, haft wełną, lub grubą bawełną. Liście — ze-

wnętrzną stroną szafirową, wewnętrzną bronzową. Kwiaty ciemno pomarańczowe, wewnątrz kratka czarna.

37. Narożnik do serwetki, haft richelieu

38. Serwetka, haft richelieu.

39. Wzór na poduszkę. Na czarnym płótnie haft krętą bawełną w kolorach: złotym, pomarańczowym, ciemnym fox-trott i zielonym.

40. Serwetka, haft richelieu.

41, 42, 43. Serwetki, haft richelieu.

44. Wzór na serwetkę. Na szarem płótnie haft kolorowy.

UWAGA: Powiększone wzory robót i formy bibułkowe sukien podanych w dodatku móg nabywać można w Administracji „Bluszczu”.

Dr. I. SADOWSKA

Krakowskie Przedmieście 7.

Leczy Seborrei, trądzika, włosów, opierzchnięcia, czerw. twarzy, nosa.

151 Kosmetyka lecznicza.

DRUSKIENIKI

Radioaktywne szczawy chloro-bromowe.

NOWO-URZĄDZONY

„Zakład Dietetyczny” (na Pogance)

otwarty od dnia 15 maja i. b. przez cały rok, poleca:

piękne pokoje umeblowane z całodziennem, wykwiutnem utrzymaniem i z uwzględnieniem w razie potrzeby wszelkich diet. Stała opieka lekarska. Specjalny oddział dla dzieci.

Ceny nader umiarkowane.

Prospekty wysyła Zarząd bezpłatnie.

nie na żądanie.

163

Cukry Kakao
Praliny
Czekolada



Riese & Piotrowski
Warszawa, Elektra na 23 w podwórzu

ZADAJCIE WSZĘDZIE

Dla Amatorów Dobrej Herbaty!

Wykwintne gatunki herbaty
Nr. 12 i Nr. 18

firmy

**KRAJOWA HURTOWNIA
HERBATY**

dawniej

T-wo M. SZUMILIN, Sp. Akc.
WARSZAWA, MIODOWA 25.

NAJSTARSZY W KRAJU,
POLSKI I CHRZEŚCIJAŃSKI
bezpośr. import herbat z plant.
EGZYST. OD 1840 ROKU.

143

179

FIRMA

Wyroby tkackie

JULJI MAZARAKOWEJ

Nowy Świat 72 drugie podwórze I-e piętro.
POLECA MATERJAŁY CZYSTO WEŁNIANE
WŁASNEGO WYROBU. Kamgarny, bostony, stretch-
garny, sukienka etc. i bawełniane samodziaily.

Fabryka istnieje od r. 1829.

Towarzystwo akcyjne Fabryki obić papierowych i papierów kolorowych „J. FRANASZEK, WARSZAWA”

ul. Wolska Nr. 41. Telefon 1-71 (dawny). Adres telegr.: „FRANASZEK, WARSZAWA”

DOSTARCZA NA ZAMÓWIENIE I ZE SKŁADU:

OBICIA PAPIEROWE (TAPETY):

Obicia naturowe, Obicia gruntowane, Imitacja linkrusty, Obicia w różnych stylach, Glans biały, Maty kolorowe, Mory i paski w różnych kolorach, Szlaki w różnych kolorach, Lamperje w różnych wysokościach. Na żądanie wszystkie gatunki obić fabryka wykonywa w kolorach podług materji, obić meblowych, dywanów i portjer.

Sprzedaż hurtowa: Wolska 41, tel. 1-71 (daw).
Magazyn detaliczny: Kr-Przedm. 15, tel. 1-72.

BIBUŁKI KREPOWANE

w doborowym gatunku własnego wyrobu, marki „The Phenomen”.

PAPIERY KOLOROWE

Papier chromowy do druku i litografji, Satyny białe i kolorowe do oklejania pudełek
Glans kolorowe w małym formacie 35×42 c.

Glans białe i kolorowe w format.: 70×100 i 50×70 cm. Papiery do opakowań: cykorji, czekolady, cukierków, perfumerji, mydeł it.p. Karton farbowany do druku na opakowania miękkie do papierosów. Papiery marmurkowe dla introligatorni, Papiery imitujące skórę dla introligatorni.

SERWETY BIBUŁKOWE białe ząbkowane, w formatach: 18×18cm., 23×23. i 36×36cm. i ze szlakami deseniowymi 36×36 cm.

KWIATY cięte, **ROŚLINY** doniczkowe, **WIEŃCE, WIAZANKI,**

poleca

**NAJTANIEJ
i NAJWIĘKSZY
WYBÓR**



**STAŁA
WYSTAWA
KWIATÓW**

KRÓLEWSKA 11. TELEFON 47-01.

KRÓLEWSKA 11. TELEFON 47-01.

QUAKER OATS



oryginalne
płatki
owsiane
dla dzieci,
chorych
i rekonwalescentów,
niezmiernie pożywne
i lekko strawne

96

NIEZRÓWNAŃE W WYDAJNOŚCI



J. & S. STEMPNIEWICZ
POZNAN
FABRYKA PERFUM I KOSMETYKÓW
ODDZIAŁY: WARSZAWA, K.S. SKORUPKI 8.
KRAKÓW, RYNEK GŁÓWNY 46.
RADOM, PIASKI 12.

117

ZAKŁAD WYROBÓW RYMAR-
SKICH I SIODLARSKICH ORAZ
GALANTERYJNYCH

P. ORZESZEK

W WARSZAWIE
MARSZAŁKOWSKA 39a

Przyjmuje wszelkie obstatunki
i reperacje po cenach umiarkowanych

158

MAGAZYN BŁAWATNY
I SKŁAD PŁÓTN

„Wacław Czaplicki“
WARSZAWA, KRUCZA № 19

Poleca po cenach bezkonkurencyj-
nych: Płótna, madapolamy, nansuki,
opale, batysty oraz wełny na suknie
i kostjomy w doborowych gatunkach.

160



119

WYTWÓRNA MEBLI

MODEST KOWALEWSKI

WARSZAWA, Chłodna 46.

Magazyn Chłodna 25, Żelazna 75 a.

Telefon 228-11.

184

Fabryka cukrów i czekolady

Jan Ziolkowski Sp. Akc.

WARSZAWA, WOLSKA 32

POLECA: Wyroby czekoladowe,
cukry, karmelki, wafle.

!!! Żądać wszędzie !!!

171

FIRMA CHRZEŚCIJAŃSKA

NA RATY!

TYLKO WYKWINTNE
WŁASNE WYROBY

POLECA:

WARSZ. S^{KA} BŁAWATNA

MARSZAŁKOWSKA № 66, RÓG WILCZEJ

OKRYCIA DAMSKIE

KOSTJUMY „ „

WEŁNY

JEDWABIE

PŁÓTNA

PATLA MĘSKIE

GARNITURY „ „

KAMGARNY „ „

BOSTONY

ROBOTA WYKWINTNA

169

Przystanek tramwajów: 2. 3. 11. 12. 16. 17. 18. 19.

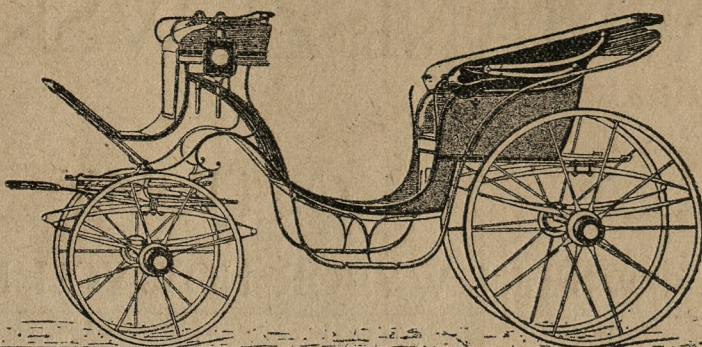
OKRYCIA KOSTJUMY SUKNIE

Podług ostatnich
modeli. Gotowe
w wielkim wy-
borze i na za-
mówienia.

BR. UNKIEWICZ

**HOŻA 54
KRUCZA 30**

FABRYKA POWOZÓW, BRYCZEK i KAROSERJI BRACIA OSTROWSCY i S-KA



NAJWIĘKSZY
WYBÓR
POJAZDÓW
W WARSZAWIE
FABRYKA:
DOM WŁASNY
ŁUCKA № 11
TEL. 164-06

Maszyny do szycia

najprzedniejszych gatunków, nowe,
ręczne, od równowartości 18 dolarów,
nożne 22. bębnowe 30, gabinetowe
36 poleca z długoletnią gwarancją
Bolesław Kulesza, Warszawa Nowy-
Świat 59, skład w podwórzu.

FIRMA EGZYSTUJE OD 1898 R.

JERZY GOUT

REKAWICZKI W RÓŻNYCH GATUN-
KACH CENY BARDZO PRZYSTĘPNE
Senatorska 9 m. 4, 1 piętro, front.

WYTWÓRNIĄ
Artykułów podróżnych i wyrobów skórzaných
poleca: KUFRY, WALIZY, TORBY,
NESESERY, PLECAKI, oraz przyjmu-
je wszelkie zamówienia i reperacje
W. FURMAŃSKI
Żórawia 12, róg Kruczej

FABRYKA TRYKOTAŻY JAN MATUSZEWSKI

NOWY-ŚWIAT 40.

175

— Sprzedaż hurtowa i detaliczna. —

182 MAGAZYN OBUWIA

MARCINA GRUDZIŃSKIEGO

w Warszawie, ul. Chłodna 39.

PRZYTOCKI & MAKULSKI

Fryzjer Damski i Męski

Przybory Toaletowe Perfumerja

WARSZAWA, Nowy-Świat 17 tel. 13-11.

MAISON „SUZY“

POLECA KAPELUSZE WYKWINTNE

Warszawa, Smolna 34, tel. 407-84.

167

L. PRZEZDZIECKA

WYKWINTNE KAPELUSZE OBSTA-
LUNKI, PRZERÓBK

KS. SKORUPKI (SADÓWA) 6
183 PARTER

PRACOWNIA FUTER, PALT,
KOSTJUMÓW i SUKIEN

Józef Bielecki

MOKOTOWSKA № 33 m. 2

ZELÓWKI GUMOWE TENI-
SOWE, PRZYKLEJANE NA
KAUCZUKU. SPECJALNA
REPERACJA PIŁEK

„SPORT“

WARECKA 5.

OBUWIE PŁÓCIENNE MĘSKIE, DAMSKIE SAN-
DAŁY OBUWIE DO TENISU i DO PIŁKI NOŻNEJ

poleca specjalna wytwórnia

B. WROŃSKIEGO

Warszawa, ul. Żórawia № 2.

MAGAZYN KONFEKCJI DAMSKIEJ WŁADYSŁAWA SUDYK

Przyjmujemy zamówienia terminowe
z powierzonych materiałów na swetry
bieliznę i t. p.

Robota wykwinna — Wykonanie solidne
i punktualne.

Warszawa, Nowy-Świat № 12

Pracownia przy sklepie.

BRACIA CHOMICZ

Warszawa, Zgoda 8

POLECAJĄ WYBOROWEJ JAKOŚCI

NASIONA

WARZYWNE
PASTEWNE
KWIATOWE

Opaski: dla pań korpulentnych,
przeciw obwisłości
brzucha, po operacyjne, na latającą
nerkę, przeciw obniżeniu żołądka, po
przebytem połogu it. d.

Bandaż: na przepukliny
brzucha, pępka
pachwiny i t.p.

Prostotrzymacze. Pończochy gumowe
i t. d. poleca bandażysta

M. Polaczek — w Samborze
180 (cenniki fr. i gr)

FABRYKA POŃCZOCH i TRYKOTAŻY N. ŁOSIAKOWSKA

WARSZAWA, ŻŁOTA 21, TEL. 158-63

Poleca po cenach fabrycznych:

Swetry, Bluzki, Pantalony dam-
skie i męskie. Dziecinne su-
kienki i ubranka. Pończochy,
Skarpetki i t. p.

Od najskromniejszych
130 do najwykwintniejszych

Chrześcijański Magazyn
Bławatny „OSNOWA“

wł. PIOTR KOBZAR

Poleca: etaminy, batysty, crêpe
de Lyon, trykotiny, satyny po-
ścielowe, koszulowe, kretony
etc. na raty i za gotówkę.

Żelazna 75a róg Chłodnej, tel. 201-59.

Franciszek Peuker

POD MOJĄ KOLDRĄ
NIKT NIE ZMARZNIE

Magazyn pościeli i bielizny damskiej

WARSZAWA

ŻŁOTA 23, TELEFON 501 163

W. JANISZEWSKI i S^{KA}

WARSZAWA,

MARSZAŁKOWSKA № 145.

OKRYCIA

KOSTJUMY

SUKNIE

WIELKI WYBÓR NOWYCH MODELI

187

FOSFATYNOWA MACZKA LAROUSSE'A



Doskonała mączka dla odżywiania niemowląt, dzieci, osób anemicznych, osłabionych i starców!
Żądać we wszystkich aptekach, składach aptecznych i większych sklepach spożywczych.

181

CENY OGŁOSZEŃ:

Cała strona	90 zł. — gr.
$\frac{1}{2}$ "	51 " 75 "
$\frac{1}{4}$ "	29 " 25 "
$\frac{1}{8}$ "	15 " 75 "
$\frac{1}{16}$ "	9 " — "
$\frac{1}{32}$ "	6 " — "

Za tekstem o 50% drożej.

Ogłoszenia firm zagranicznych o 50% drożej.

Od cen powyższych żadnych opustów się nie udziela. Za terminowy druk ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Każda nowa podwyżka taryfy obowiązuje wszystkie już przyjęte ogłoszenia, od dnia zmiany cen bez uprzedniego zawiadomienia.

Ogłoszenia mniej niż na $\frac{1}{4}$ część strony przyjmuje się tylko za gotówkę. O ile ogłoszenie drobniejsze ma być powtarzane, za każde trzy razy należy wnieść należność z góry.

WIELKOPOLSKA

HURTOWNIA

WŁÓKIENNICZA

„ZIEMOWIT“

SP. Z OGR. ODP.

SUKNA, KORTY, WEŁNY —
PÓLWEŁNY. MATERJAŁY BA-
:: WEŁNIANE I LNIANE ::

Skład Fabryczny Kołder i Koców:
T-wa „FABRYKI ANTONIUK“
W BIAŁYMSTOKU

WARSZAWA

UL. DŁUGA 21, TELEF. 288-00

168

25 OBUWIA

DAMSKIEGO, MĘSKIEGO I DZIECIENNEGO

NIE KUPUJ DOPÓKI NIE OBEJRZYSZ
— NA WILCZEJ № 27 — 2. —

Prenumerata „Bluszczu“

WYNOŚI

miesięcznie z przesyłką . . .	3 zł. 50 gr.
numer pojedynczy	1 " — "
zagranicą miesięcznie	7 " — "
zmiana adresu	30 " — "

Na bieżący tydzień obowiązuje kurs dnia dzisiejszego t.j. 1 złoty 1.800.000 mk.
Reklamacje numerów zaginionych uwzględniane są do 2 tygodni bez pobrania kosztów.

Wysyłkę „Bluszczu“ przerywamy stanowczo w razie nieopłacenia prenumeraty do połowy miesiąca.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Warszawa, Pałac Staszica Krak.-Przedm. 2,
Koło Polek, telefon 239-40.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 3700.

A. IZYCKA

ul. CHMIELNA 15.

KAPELUSZE WYKWINTNE,
CENY PRZYSTĘPNE

121

PRZY ANEMJI I OSŁABIENIU PIG. CHLOROFILOWE GESSNERA

115 preparat roślinny pobudza
apetyt i wzmacnia organizm.

Kolczyki

—zakładają się kolczyki, usuwają się:
KURZAJKI, BRODAWKI, ZNAMIO-
NA, WĄGRY i t. p. defekty.

WARSZAWA, NIECAŁA 5. KLIMECKI.

141

FABRYKA KAPELUSZY DAMSKICH F. RADGOWSKIEGO KRUCZA 34 — WARSZAWA

SPECJALNOŚĆ: KAPELUSZE DLA PENSJI
I SZKÓŁ ŻEŃSKICH
Oraz przyjmuje się kapelusze do przefasono-
wania i odświeżania

Po cenach przystępnych

137

SKLEP

153

KONFEKCJI DAMSKIEJ I MĘSKIEJ
I GALANTERJA

Michalina Trzepało

DŁUGA 82

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU“: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA“, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ,
T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp.—Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA—
Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA“—Długa 9 i 1. BUCHWEITZ—Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Zakładów Graficznych „KOŁA POLEK“.
Sp. z Ogr. Odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40

Druk Zakł. Graf. „KOŁA POLEK“ Nowy-Swiat 2-10.